

## **10 lat od Apelu z Blois. Debata akademicka w Instytucie Historii (od 1.10.2019 — Wydział Historii) UAM Poznań 13 listopada 2018 r.**

**W**debacie udział wzięli: prof. dr hab. Ewa Domańska (UAM), dr hab. prof. UJ Barbara Klich-Kluczevska (UJ), prof. dr hab. Anna Landau (IH PAN), prof. dr hab. Stanisław Jankowiak (UAM), prof. dr hab. Krzysztof Ruchniewicz (UWr), dr hab. prof. UAM Konrad Białecki (UAM, IPN).

Debatę moderował: dr Mariusz Menz (UAM).

MARIUSZ MENZ: Witam serdecznie Szanowne Panelistki i Szanownych Panelistów. Witam wszystkich zebranych na debacie poświęconej dziedzictwu Apelu z Blois. Witam Państwa tym bardziej, że debata, jako forma wymiany myśli i popularyzacji historii naukowej, nie jest w ostatnich latach niestety normą praktyk akademickich. Coraz częściej obserwujemy bowiem próby narzucania społeczeństwu „prawd objawionych” („narodowych”?), które mają uzasadniać taką czy inną politykę historyczną. Trudno się z tym pogodzić, gdyż historia nie jest (a przynajmniej być nie powinna) narzędziem dyskursu władzy. Powinna służyć społeczeństwu (i poszczególnym grupom społecznym) jako forum wymiany myśli, interpretacji, które możliwe są tylko w bezpośredniej i otwartej dyskusji. W taki sposób, mam nadzieję, będziemy wszyscy rozumieli naszą dzisiejszą debatę. Dziękuję Pani profesor Izabeli Skórzyńskiej za zaproszenie mnie do poprowadzenia tej debaty, co traktuję jako osobiste wyróżnienie.

Szanowni Państwo, dziesięć lat temu — w październiku 2008 roku w Blois we Francji — Stowarzyszenie Wolność dla Historii, które zrzesza europejskich, choć przede wszystkim francuskich historyków, ogłosiło apel o wolność badań historycznych. Apel dotyczył granic używania historii dla celów politycznych, podobnie jak panegiryzowania przeszłości jako jej użytkowych narracji. Podpisali go wybitni europejscy historycy, w tym: Aleida i Jan As-

smannowie, Timothy Garton Ash, Eric Hobsbawm, Jacques Le Goff, Karol Modzelewski i Krzysztof Pomian, którego tekstu mogliśmy przed chwilą wysłuchać w postaci tzw. czytania performatywnego. Zostało ono przygotowane przez naszych nieocenionych studentów z Koła Naukowego Historyków — Sekcji Animacji Kultury Historycznej — Katarzynę Witek i Kacpra Oborskiego.

Apel z Blois odbił się szerokim echem w Europie, choć niekoniecznie w Polsce, gdzie do dyskursu publicznego trafił właściwie za sprawą „Gazety Wyborczej”, która przytoczyła na swoich łamach jego fragmenty. Pozwólcie Państwo, że odczytam jeden z nich:

Zaniepokojeni ryzykiem retrospektywnego poddawania historii ocenom moralnym oraz wprowadzania cenzury intelektualnej, nawołujemy europejskich historyków do mobilizacji i odwołujemy się do rozwagi polityków. Historia nie może stać się niewolnikiem bieżących wydarzeń, nie możemy jej pisać pod dyktando konkurujących ze sobą pamięci. W wolnym kraju nie jest rzeczą władz politycznych definiowanie prawdy historycznej ani ograniczanie swobód historyków za pomocą sankcji karnych.

Dziesięć lat później chcielibyśmy rozważyć aktualność przesłania płynącego z Apelu z Blois. Jest on aktualny o tyle, że przeżywamy dziś w Polsce okres gorących sporów, a niekiedy doświadczamy prób cenzurowania różnych podmiotów instytucjonalnych (np. muzeów), które stawiają opór przed przymusowym wpisywaniem ich w nurt narodowej apologii. Przykrą praktyką ostatnich lat stały się też próby dyskredytowania tych historyków, którzy mają odwagę ujawniania „niewygodnych” prawd historycznych, zwłaszcza w relacjach polsko-żydowskich. O tym wszystkim chcemy dzisiaj szczerze i uczciwie porozmawiać.

Zapraszamy zatem Państwa do debaty.

ANNA LANDAU: Witam Państwa! Chciałabym zacząć od tego, że Apel, o którym słyszeliśmy przed chwilą i którego fragmenty właśnie zostały przytoczone, jest bardzo słuszny i ważny. Dlaczego? Zastanówmy się nad samym słowem „historia”. Czym jest historia? Historia jest opowiadaniem. Każdy historyk, nawet najbardziej rzetelny, pisząc cokolwiek — opowiada — i to jest jego opowieść, która, nie łudźmy się, nigdy nie jest obiektywna. Nie jest obiektywna z wielu względów. Nie jest obiektywna, bo nie istnieją ludzie obiektywni. Nie jest obiektywna, bo jest opowiadana z punktu widzenia osobistej pamięci piszącego. Nie jest obiektywna nie tylko w wydaniu historyków, ale także socjologów. Jestem historykiem i socjologiem, i podobnie jak na gruncie historii, tak i na gruncie socjologii, wciąż obowiązuje postulat

badacza jako bezstronnego obserwatora patrzącego na społeczeństwo z zewnątrz, tyle że nigdy tej metodologii nie udało się zastosować w praktyce. Nawet jej twórcom. Dlaczego? Dlatego, że każdy z nas ma w sobie tę pamięć, a za sobą społeczeństwo i wszystkie kategorie, na które się to społeczeństwo dzieli, że każdy ma ukształtowany sposób widzenia rzeczywistości i jak bardzo by nie chciał od tego odejść, to po prostu nie może. Nie zawsze przy tym zdaje sobie sprawę, że w procesie socjalizacji uczy się pewnych ważnych rzeczy, których potem nie poddaje krytyce.

Choćby Stulecie Niepodległości było... przedwczoraj. Stulecie... Co to oznacza w naszej kulturze — sto lat? Dlaczego sto lat jest ważne? Bo tak. Tu nie ma żadnej innej odpowiedzi na to pytanie. Uważamy, że to jest rocznica, którą powinniśmy obchodzić. Nie sto dwadzieścia, nie trzydzieści siedem, tylko sto. Nie jesteśmy w stanie się od tego wyzwolić.

A oto inny przykład. Historia świata jest historią mężczyzn, jeżeli teraz dodajemy do niej historię kobiet, to jest zaledwie historia addytywna. Wydaje się nam to oczywiste, że powinniśmy dodać do historii mężczyzn historię kobiet. Ale już nie jest oczywiste, że powinniśmy pisać historię z punktu widzenia kobiet i dodać do niej historię mężczyzn. Dzieje się tak, chociaż kobiety stanowią połowę ludzkości, a ich historia jest równie ważna. To, że piszemy męskie historie zostało nam wpojone. Wpojone tak bardzo, że w ogóle się nad tym nie zastanawiamy.

Jesteśmy też zdecydowanie europocentryczni, bo jesteśmy wychowani w pewnej kulturze, która jest dominująca. Jeżeli mówimy, że społeczeństwo powinno być demokratyczne, to nie bierzemy pod uwagę kultur, które nie uważają tego za istotne. Uważamy, że te kultury powinny się do nas dostosować i pisać naszą historię, a nie swoją historię.

W kontekście Apelu z Blois nie sposób nie wspomnieć o polityce historycznej rozumianej jako domena państwa. Tymczasem państwo nie może nie prowadzić polityki historycznej, podobnie, jak nie może nie prowadzić polityki społecznej. Jeśli jej nie prowadzi, to też ją prowadzi. Przed chwilą wysłuchaliśmy tekstu profesora Krzysztofa Pomiana, który jest apelem o prowadzenie polityki historycznej, ale tylko takiej polityki historycznej, jaką On uważa za słuszną. Ja też ją uważam za słuszną, ale to nie znaczy, że nie jest to polityka historyczna i to nie znaczy, że wszyscy mają obowiązek taką politykę prowadzić. Zwracam uwagę, że ci, którzy uważają, że powinno się prowadzić zupełnie inną politykę historyczną, są tak samo głęboko przekonani, że ona jest słuszną, jak profesor Pomian przekonany jest o racjonalności polityki przez niego zaproponowanej.

Stajemy zatem przed problemem, który trudno rozwiązać.

Polityka historyczna to jest przecież to wszystko, co robimy w kontekście przeszłości. To były dotacje na odbudowę zabytkowych kościołów w okresie

Polski Ludowej. Tak, to też była polityka historyczna. Podobnie, gdy wspomagamy odbudowę synagog, to też jest polityka historyczna. Każdy z nas w tej chwili widzi tylko tę politykę historyczną, z którą się nie zgadza. I to jest problem, z którego bardzo trudno jest się wyzwolić.

Oczywiście polityka historyczna prowadzona przy pomocy kar, zakazów, nakazów czy wręcz kary więzienia za głoszenie pewnych poglądów, to coś więcej niż polityka historyczna. To już jest po prostu polityka. I to też trzeba brać pod uwagę. Ale i tu są wyjątki. Kłamstwo oświęcimskie jest podstawą do wymierzenia kary. Czy powinno tak być? Wiele osób o poglądach skrajnie liberalnych uważa, że nie, że nie powinno się penalizować poglądów. Jeżeli otwieramy furtkę mówiąc, że kłamstwo oświęcimskie może być karane, miejmy świadomość, że przyzwalamy na to, aby karać także za inne poglądy. Owszem, głoszenie nieprawdy, podawanie fałszywych faktów powinno być karane, ale są inne formy dezaprobaty, w tym wykluczenie środowiskowe, wykluczenie z grona liczących się historyków, niezapraszanie takich historyków do udziału w sesjach, konferencjach, debatach, niedrukowanie ich książek.

Profesor Krzysztof Pomian, tu wracam do Jego tekstu, widzi historię i pamięć jako skonfliktowane. Problem nie leży chyba jednak w tym konflikcie, ale we właściwościach pamięci, która rządzi się własnymi prawami. Kształtuje ją nie tyle historia, co polityka i pamięć zbiorowa stąd wymazywanie pamięci, wojny o pamięć i konkurowanie pamięci. Stąd uznanie lub brak uznania dla czyjejś pamięci.

Wróć do wątku kobiet, których pamięć uważa się za nieistotną, bo gdy na przykład mowa jest o wojnie, ważne jest to co na froncie, a nie to, co na zapleczu. Ale nie tylko punkt widzenia kobiet jest marginalizowany.

W 2018 roku opublikowałam książkę nt. „Małego Przeglądu” i tego, jak dzieci piszące do „Małego Przeglądu” widziały II Rzeczpospolitą. Okazuje się, że to jest inny kraj, niż ten widziany przez dorosłych, tam się zupełnie inne rzeczy dzieją. Pamięć dzieci na ogół nie jest brana pod uwagę w narracjach historycznych i nikt z liczących się historyków nie uważa, że brak pamięci dzieci w narracji historycznej w czymkolwiek przeszkadza. A przecież nikt nie wątpi, że historia bez dzieci i ich pamięci nie jest obiektywna.

Nie bardzo też zgadzam się z tym, że polityka historyczna, czy polityka miejsc pamięci nie wpływa na kształt pamięci. Zmienia jej kształt, jak najbardziej, jeżeli jest prowadzona przez wiele lat, odnosi skutek. To dotyczy na przykład kształtowanej przez dziesięciolecia PRL pamięci Polski jako jednonarodowej. Oczywiście wiemy, że przed wojną byli w Polsce jacyś inni, ale nie wiemy jak to działało, bo narracja o tych innych jest przede wszystkim polska, prowadzona z polskiego punktu widzenia. Gdyby dziś ktoś mieszkał w otoczeniu samych żydowskich sąsiadów, to by ich zauważył, byłoby to

dla niego istotne, przeczytałam u jednej z autorek. Ale w dwudziestolecu międzywojennym, to nie było takie oczywiste, zwłaszcza w odniesieniu do żydowskiej inteligencji, bo ludzie ci byli częścią codzienności, a ich obecność oczywistością, nad którą nie trzeba było się zastanawiać.

Swoją drogą, historyk wcale nie jest oderwany od pamięci. Pamięć mówi mu co ma badać, co jest nieistotne, co może spokojnie pominąć bez szkody dla innych. To co innego niż fałszerstwa, fatalna metodologia, świadome pomijanie rzeczy niewygodnych, pozostających w sprzeczności z tezą, tak jak dzieje się to dziś często w przypadku „Żołnierzy Wyklętych”.

Pisząc książkę o „Małym Przeglądzie” zorientowałam się, że w zależności od tego, jakie tematy wybiorę: rodzina, szkoła, zwierzęta domowe, podwórko, antysemityzm, stosunki polsko — żydowskie, przemoc w rodzinie, to mogę dostać dwa zupełnie inne obrazy II Rzeczypospolitej i oba będą prawdziwe.

Profesor Pomian mówi o pracy pamięci i jej uzgadnianiu. Czy na pewno? O ile szanujemy pamięć innego, może ona i przecież często rodzi się i pozostaje w konflikcie z inną pamięcią. Nie wiem czy konflikt, jeśli nie przeradza się w wojnę, jest zły. Konflikt jest podstawą dyskusji i nie musi być destrukcyjny. Jeśli przyjmiemy, że ideałem jest utopia państwa Platona, gdzie wszyscy są tacy sami to ja dziękuję, wołę konflikt i spór. On dotyczy zresztą nie tylko pamięci, ale także historii, wielości historii, które także się konfliktują, historyków, którzy się spierają. Historia to nie jest nauka ścisła. Chodzi raczej o to, aby wiele różnych historii mogło być opowiedzianych i, aby były one wysłuchane, opublikowane, przeczytane i dyskutowane.

I może na zakończenie taki apel. Mamy tu pewną utopię i baczmy by w imię obiektywizmu i prawdy nie zamienić tej utopii w dystopię, aby nie zamienić historii w obiektywne, niekonfliktowe i jedyne słuszne kalendarium przeszłości, które nikogo nie obchodzi.

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję Pani Profesor i oddaję głos Panu profesorowi Krzysztofowi Ruchniewiczowi.

KRZYSZTOF RUCHNIEWICZ: Szanowny Przewodniczący, Szanowni Państwo, bardzo dziękuję za zaproszenie. To bardzo miło, że taką konferencję zorganizowali studenci i doktoranci. To jest przykład na to, że także dla studentów problem, który postawiono w Apelu z Blois jest ważny, aktualny. W końcu za kilka lat będziecie Państwo siedzieć po tej stronie, gdzie dziś siedzimy my, w różnych zawodowych konstelacjach, to wy będziecie prowadzić debaty historyczne, podejmować decyzje co badać, co i jak publikować, jak edukować i jak o tym mówić.

Pozwólcie więc Państwo, że ustosunkuję się do tego, co przed chwilą usłyszeliśmy. Nie do tego, co powiedziała moja Przedmówczyni, ale do tego co

znalazło się w tekście profesora Pomiana. A następnie rozważę kwestię poruszoną w zaproszeniu do debatowania, kwestię granic wolności historii mając na uwadze warsztat naukowy, etykę i prawo. No i na koniec, mam nadzieję, że w szóstej minucie zilustruję to na jednym przykładzie.

Nie do końca zrozumiałem tekst profesora Pomiana, który zresztą opublikowany został na kilka miesięcy przed Apelem z Blois. Apel z Blois z kolei nie dotyczył spraw polskich, ale sytuacji, jaka zaistniała w Europie po próbach skodyfikowania na płaszczyźnie europejskiej, czy też wręcz zadekretowania określonej, europejskiej polityki historycznej. W tym kontekście Apel był wyrazem oporu przeciwko dekretowaniu czegokolwiek. Świadczy o tym już cytat z Apelu przywołany przez doktora Mariusza Menza. Fragment mówiący o tym, że zadaniem państwa nie jest nakazywanie czym mają się zajmować historycy, ponadto nie jest zadaniem państwa karanie nas za to, czym się zajmujemy. To jest kluczowa kwestia, o której chciałbym teraz powiedzieć, ponieważ profesor Pomian przede wszystkim pisał o historii drugiego stopnia, my tymczasem mówimy cały czas o historii pierwszego stopnia.

Jeżeli prześledzimy debaty i dyskusje na temat pamięci, to jesteśmy dziś trochę dalej niż, gdy Apel z Blois się pojawił. Mówimy o polifonii pamięci, mówimy o kakofonii pamięci, mówimy też coś o protokołach rozbieżności i tak dalej. Mam nadzieję, że dzisiaj jesteśmy trochę dalej i myślę, że dla nas rzeczą ciekawą jest prześledzenie, że mimo, iż wydawało się nam, że będziemy w przyszłości rozmawiać już tylko o historii drugiego stopnia, w związku z takimi a nie innymi zmianami politycznymi w Europie, a także w świecie, właściwie cały czas wracamy do historii pierwszego stopnia i staramy się w jakiś sposób jako historycy odnaleźć w tej rzeczywistości, zwłaszcza, że wciąż jesteśmy konfrontowani z ogromną niewiedzą.

A oto przykład. Otóż, jeden z takich problemów, który wielokrotnie w Polsce był podejmowany, i który był wręcz powodem tego, że znowelizowano ustawę o IPN (styczeń 2018 r.), była sprawa ścigania za używanie określenia „polskie obozy koncentracyjne”. Nawet jeżeli jako historycy słyszemy tego rodzaju określenia i dowiadujemy się, że jest to poważny problem (bo istotnie używając tego określenia, jego autor dopuszcza się manipulacji), nie możemy czuć się zwolnieni, aby to sprawdzić, sfalsyfikować, ustalić czy to jest prawda. Ja sobie zadałem trud i zwróciłem się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych z prośbą, czy mógłbym otrzymać informację, ile razy interweniowały polskie służby dyplomatyczne w tej właśnie kwestii. Otóż okazało się, że Niemcy, bo przynajmniej tutaj przede wszystkim argumentowano to tym, że to właśnie w Niemczech pojawiło się bardzo dużo tego rodzaju określeń, okazało się, że Niemcy są na trzecim miejscu, czwartym, czy piątym, w zależności od roku i tak naprawdę to nie jest kwestia, która jest w jakiś sposób bardzo poważnym problemem. O jakiej bowiem skali

użycia określenia „polskie obozy koncentracyjne” w Niemczech mówimy? Jeżeli wyobrazimy sobie, że w Niemczech wychodzi kilkanaście dzienników dziennie, dużych, ogólnoniemieckich, ja już nie zliczę regionalnych czy lokalnych wydań, nie wspomnę o tygodnikach, to można spokojnie powiedzieć, że wychodzi kilkadziesiąt tysięcy gazet w ciągu roku. W ciągu roku polskie służby dyplomatyczne w Niemczech interweniowały ponad sto razy w tej sprawie. Ktoś mógłby powiedzieć, że to jest dużo, ja powiem, że to jest bardzo mało, chociaż zjawisko samo w sobie jest poważne, to nie ulega wątpliwości. Ale państwem, w którym najczęściej nadużywa się tego określenia są Stany Zjednoczone. Czy zatem kierujemy nasze apele i noty także tam? Ja nie słyszałem o takim apelu, ani o szczególnych programach poza różnego rodzaju działaniami edukacyjnymi. Z jednej strony mając na uwadze, że nadużywa się tego określenia i chcąc stawić temu tamę, zaczęto się zastanawiać jak ewentualnie prawnie ten problem rozwiązać. I temu miała między innymi służyć nowelizacja ustawy o IPN. Jednocześnie zaprzestano edukacji. A to jest problem przede wszystkim edukacji. Tutaj powinniśmy jako historycy o wiele bardziej się zaangażować. Dlaczego edukacja? Otóż okazuje się, że kiedy zapytałem, także polskie MSZ, czy w chwili, kiedy zwrócono uwagę na użycie tego określenia, czy zdarzała się odmowa wprowadzenia korekty czy przeprosin, okazało się że takiej odmowy nie było. MSZ potwierdziło, że w Niemczech nie jest znany przypadek, aby nie zareagowano pozytywnie na polską interwencję.

Dwa lata temu jedno z najbardziej znanych wydawnictw szkolnych — Klett Verlag — opublikowało, w jednym ze swoich podręczników, sformułowanie o deportacji Żydów do Polski, do „polskich obozów koncentracyjnych”. Jaka była reakcja? Oczywiście można było to zgłosić do prokuratury. Prokuratura prawdopodobnie by się tym zajęła, ale czy to byłoby wyjście z sytuacji? Nie, po to jest Komisja Podręcznikowa Polsko — Niemiecka, czyli gremium, które współtworzą historycy z Polski i z Niemiec, ażeby w takich sytuacjach reagować na zasadzie dialogu, aby także na przyszłość nie popełniać błędów, jak ten o którym wspomniałem. I rzeczywiście. Po interwencji Klett Verlag opublikowało uzupełnienie do podręcznika na swoich stronach, wycofało też już wydrukowane podręczniki z rynku, a w rozdziale, gdzie użyto tego nieadekwatnego określenia, wyjaśniono problem z jego pojawianiem się w dyskursie publicznym oraz, że nie jest ono prawdziwe. Ponadto rozdział opatrzone literaturą na ten temat, co wydaje się lepszym rozwiązaniem, niż ściganie kogokolwiek, gdzie w przypadku Polski i Niemiec, choć mamy też przykłady innych procesów, one zwykle kończą się niczym. To znaczy zamiast cokolwiek rozwiązać, one jeszcze bardziej komplikują sytuację.

Ale oto jeszcze jeden wątek, który chciałbym tu poruszyć, a mianowicie zadania historyka w świecie, gdzie przeszłość odgrywa ogromną rolę, a jed-

nocześnie wystawiona jest na hazard różnych nadużyć. Przed chwilą wspominałem, że tym zadaniem jest sfalsyfikowanie, sprawdzenie, zadanie sobie trudu, aby dociec prawdy... Tyle, że także i historycy manipulują przeszłością służąc tej czy innej opcji politycznej, co oczywiście nie powinno mieć miejsca, ale niestety dzieje się na naszych oczach. Także i o tym jest mowa w Apelu z Blois.

I tak oto, w konkretnym przypadku „polskich obozów koncentracyjnych”, jeden z historyków, z Lublina uznał, że może po prostu napisać sobie science fiction. Gdyby to była powieść science fiction nie miałbym z tym żadnych problemów, ale ponieważ na tą wiedzę zaczęli się powoływać polscy politycy jednej opcji politycznej, to wydawało mi się to trochę dziwne, mając na uwadze moje badania dotyczące lat 50. XX wieku, gdyż zajmowałem się tą problematyką w kontekście relacji polsko — niemieckich. Postanowiłem to sprawdzić. Otóż ten historyk twierdził, (ta informacja przez jakiś czas publikowana była zresztą w Wikipedii), że jeden z wydziałów BND (Bundesnachrichtendienst), zajmujący się polityką dezinformacji, wprowadził do obiegu określenie „polskie obozy koncentracyjne”. Z całą świadomością napisał on, powołując się na nazwiska i oddział, który za tym stał. To wydało mi się naprawdę bardzo dziwne. Postanowiłem dotrzeć do tych materiałów. Udało mi się dotrzeć nie tylko do nich, ale także do żyjących świadków. Okazało się, że ten wydział BND nie zajmował się sprawami polskimi, tylko zwalczaniem propagandy NRD, zwróciłem się z więc prośbą do rzeczonoego historyka o dowody na słuszność jego tezy i wtedy okazało się, że tych dowodów nie ma. Co zrobić w takiej sytuacji?

Do dzisiaj nie opracowaliśmy kodeksu postępowania etycznego historyków. Takie kodeksy istnieją na świecie, mają go np.: historycy amerykańscy, szwajcarscy, historycy niemieccy właśnie nad takim pracują, natomiast kodeksu postępowania historyka polskiego nie ma. Zwłaszcza w sytuacjach konfliktowych, takich o których wspominałem, gdzie byłoby rzeczą dobrą, także mając na uwadze nie tylko nas jako profesorów, ale i Państwa — studentów, którzy już za chwilę będą absolwentami historii, abyście mieli pewien drogowskaz, według którego moglibyście postępować i do czego moglibyście się odwoływać. Wydaje mi się, że mimo różnych dyskusji, debat, nasza zależność od mistrzów jest prawie żadna, a mówienie o tym, że mieliśmy swoich mistrzów, nie ma racji bytu. Dlatego potrzebny jest kodeks.

Na zakończenie jeszcze jeden przykład. W chwili, kiedy opracowywaliśmy ostatnią dokumentację dotyczącą wysiedlenia ludności niemieckiej i ludności polskiej w jednej ze wsi, natrafiliśmy w trakcie analizowania ksiąg chrztu na informację, że taka czy inna osoba została zgwałcona przez żołnierza radzieckiego. Była to informacja wpisana przez księdza i dotycząca konkretnych osób. Dyskutowaliśmy czy taką informację powinniśmy również podać,

czy też nie. Uznaliśmy, że nie podamy, ponieważ nie wiemy, czy ta osoba żyje, bądź czy jej rodzina żyje i czy życzyłaby sobie, aby w takim kontekście, w tej właśnie publikacji o wysiedleniu ludności niemieckiej rodzina, nawet po śmierci tej osoby dowiedziała się, że któreś z dzieci urodziło się z gwałtu, jakiego na przyszłej matce dopuścił się żołnierz radziecki. Co wcale nie oznacza, że ta informacja, gdybyśmy badali wysiedlenia nie jednostkowo, ale pod kątem pewnego ogólniejszego zjawiska, nie jest ważna. Ona jest ważna, bo pokazuje złożoność czasu, z jakim mieliśmy do czynienia w roku 1945 i następnych latach na ziemiach włączonych do Polski i to jest jak najbardziej temat, który jest przedmiotem zainteresowania historyków.

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję profesorowi Ruchniewiczowi i o to samo, czyli o ustosunkowanie się do dziedzictwa Apelu z Blois proszę Panią profesor Ewę Domańską.

EWA DOMAŃSKA: Chciałbym przede wszystkim podziękować Pani profesor Izabeli Skórzyńskiej i Panu Arturowi Tomczakowi za zaproszenie do wzięcia udziału w tej debacie. Podobnie, jak profesor Krzysztof Ruchniewicz, myślę, że to, iż spotkaliśmy się dzisiaj stanowi objaw właściwych odruchów akademickich i mam nadzieję, że Państwo studenci doceniacie wagę problemu, który jest tutaj poruszany, bo w końcu przyszłość jest bardziej wasza, niż nasza.

Swoją wypowiedź rozpocznę od zwrócenia uwagi na zdarzenie, które bezpośrednio łączy się z Apelem w Blois. A mianowicie 13 grudnia 2005 roku w paryskiej gazecie *Libération* dziesięciu francuskich historyków (m.in. Marc Ferro, Pierre Nora, Mona Ozouf, Paul Veyne, Pierre Vidal-Naquet) opublikowało petycję „Wolność dla historii” (*Liberté pour l'histoire*), w której domagali się zniesienia „niegodnych ustroju demokratycznego” tzw. ustaw o pamięci, ponieważ ograniczają one wolność historyka i utrudniają jego pracę badawczą. Proszę zwrócić uwagę, że w stosunku do fragmentów Apelu z Blois, mamy tutaj jeszcze bardziej konkretne postulaty i zasady, z których każda mogłaby się stać zaczynem osobnej dyskusji. Weźmy na przykład takie stwierdzenia: „Historia nie jest pamięcią. Historia nie jest przedmiotem prawa. W wolnym państwie, definiując prawdę, historia nie opiera się ani na parlamencie, ani na legalnej władzy. Polityka państwa, nawet jeżeli kieruje się dobrymi intencjami, nie jest polityką historii”. Pani profesor Anna Landau przywołała ideę utopii i być może dokument ten zawiera utopijne idee, które wprowadzone w życie mogłyby zmienić się w dystopię, natomiast warto wziąć pod uwagę, wobec jakich ustaw o pamięci ta petycja była sformułowana. Dotyczyły one wypierania aktów rasizmu, antysemityzmu i ksenofobii, aktów ludobójstwa w Armenii; dotyczyły prawa, które nakazywało

ujmowanie niewolnictwa jako zbrodni przeciwko ludzkości, a także nauczania w szkole pozytywnej roli kolonizacji francuskiej. O ile historycy-profesjonaliści mają wiedzę i narzędzia, by sobie z tymi sporami poradzić, można się zastanowić, na ile w polskiej edukacji, w tym w edukacji akademickiej, jest to problem wymagający debaty, podobnie zresztą jak to, co wokół pamięci dzieje się w dyskursie publicznym. Jak pisał Pan profesor Krzysztof Pomian, zaistniała potrzeba, aby konflikty na gruncie pamięci włączyć do debaty akademickiej. Niestety nie wydaje się, aby to coś pomogło.

Przyjrzałam się referatom, zgłoszonym do udziału w konferencji, której częścią jest nasza debata i pozwoliłam sobie sformułować trzy problemy, które Państwu przedstawię z nadzieją, że być może spotkają się one z Państwa zainteresowaniem. Po pierwsze chciałabym zaproponować, abyśmy Apel z Blois rozważali w planie szerszym, tj. w odniesieniu do tego, co dzieje się obecnie na świecie i w Europie, a zwłaszcza w kontekście kryzysu demokracji liberalnej i ruchów lewicowych oraz „zwrotu konserwatywnego”.

Po drugie, jak zaznaczył profesor Pomian „ani demokracja, ani Europa nie są czymś danym raz i na zawsze” i nie jestem przekonana, że powinniśmy zakładać, że skoro teraz żyjemy, to i nadal będziemy żyć w społeczeństwie demokratycznym. Mamy do czynienia z kryzysem demokracji liberalnej. Czy współczesne społeczeństwa pójdą w kierunku zbudowania alternatywnej formy demokracji? — tego nie wiemy. Być może analizowanie polityki historycznej może nam pokazać, dokąd społeczeństwa zmierzają, a moim zdaniem zmierzają w kierunku trybalizmu. Odrodzenie się plemiennego myślenia jest dla mnie ewidentne. Jednym z tego przejawów jest badana przeze mnie nekropolityka historyczna, która zauważalna jest nie tylko w Polsce, lecz także w Hiszpanii i w krajach Ameryki Łacińskiej. W Polsce przejawia się ona m.in. w powracającym haśle „ojczyzna to ziemia i groby”.

Po trzecie, gdy mowa o symptomach wyłaniania się alternatyw dla demokracji, to warto jak sędzę przyglądnąć się występującemu w Polsce zjawisku, które określiłabym mianem wizualnej zoopolityki historycznej. Polityka ta uwidacznia się w procesie retotemizacji orła jako symbolu terytorialnego i indywidualnego. Analizując te zjawiska sięgam po kasus obchodów stulecia niepodległości, gdzie ta retotemizacja uwidoczniła się w całej pełni.

Powiedziałabym zatem tak: Apel z Blois rozważany w kontekście kryzysu demokracji, ruchów lewicowych i myślenia przyszłościowego odsyła do kwestii tworzenia nowego imaginarium społecznego i do nowej polityki historycznej, która pojawiła się w Polsce w latach 2004–2007, a która jest silnie naznaczona nekrolatrią i zoolatrią. Ta nowa polityka historyczna z jednej strony wspiera się na nekropolityce forującej figurę ekshumowanego bohatera (w tym porządku mieszczą się ‘Żołnierze Wyklęci’), a z drugiej na wizualnej zoopolityce, którą manifestuje totemiczna figura orła. Nekropoli-

tyka uwidacznia się na przykład w hasle, które ostatnio przy okazji obchodów wybuchu Powstania Warszawskiego przywołał Pan premier Mateusz Morawiecki: „Ojczyzna to ziemia i groby. Narody tracąc pamięć, tracą życie”. Formuła ta odsyła nas do idei tak świetnie opisanego przez Marię Janion patriotycznego romantyzmu, czy jakby powiedział Stanisław Rosiek „patriotyzmu cmentarnego”. Choć nie wiemy, czy słowa te wypowiedział marszałek Ferdinand Foch czy Cyprian Kamil Norwid, jak widać z przemówienia Premiera, nadal uważamy, że groby wyznaczają terytorium Polski (a także, że groby polskich bohaterów znajdujące się poza granicami Polski stanowią o polskości tamtych ziem). Co jest dla mnie ciekawsze, odwołaniu się do grobu jako znacznika terytorium, wzmacnia towarzysząca temu dalsza metaforyka. Na ekranie wyświetliłam plakaty dotyczące Żołnierzy Wyklętych. Przedstawieni są oni jako tkwiące pod ziemią korzenie drzewa symbolizującego naród i państwo. Występują tu także w postaci jeszcze nieoznaczonych grobów, gotowi, by z nich powstać i dać początek nowemu społeczeństwu, społeczeństwu zrodzonemu z ich prochów. Są to zatem figury bohaterów, warto podkreślić nie tyle żywych czy martwych, ile ekshumowanych, co nadaje im specyficzny status. Figura bohatera-ekshumanta (czy *subterrana*, by użyć określenia hiszpańskiego badacza Francisco Ferrandiza) staje się w kontekście obchodów niepodległości państwa polskiego kluczowa.

Z kolei wizualna zoopolityka historyczna, przez co rozumiem wykorzystanie wizualnych przedstawień zwierząt do prowadzenia polityki historycznej między innymi w celu kształtowania nowej tożsamości narodowej Polaków i poszukiwania nowych mitów fundacyjnych — odsyła nas do nie-ludzkiego pra-przodka. Tym przodkiem jest oczywiście orzeł. Mamy tu do czynienia z mechanizmem kreowaniem manichejskiego obrazu wroga i przyjaciela. Obraz ten tworzony jest z jednej strony przez dehumanizację wroga na drodze animalizacji negatywnej (o czym nie będę tutaj mówiła), a z drugiej przez dehumanizację przyjaciela na drodze animalizacji pozytywnej. I tak, Polak-patriota przedstawiony jest jako orzeł, co w dalszym planie wiedzie do defikowania zwierzęcia jako narzędzia politycznej zoolatrii. Odwołam się tutaj do idei Haydena White’a, który w tekście „Czym jest system historyczny?” pisał o „retroaktywnej konstytucji przodków”, tj. poszukiwaniu nowych modeli życia i zachowań oraz „idealnych poprzedników”, którzy odpowiedzialiby potrzebom nowego systemu politycznego powstałego w wyniku przełomów czy/i transformacji ustrojowych.

Uważam, że w przypadku polskiej polityki historycznej mamy właśnie do czynienia z przywoływaniem takiego nie-ludzkiego przodka. Jak to wygląda w praktyce? Spójrzmy ponownie na ekran, na którym widzimy przedstawienie orła, któremu towarzyszy hasło: „Polski orzeł — prawdziwy patriota”. Proszę także spojrzeć na różne przedstawienia orła na koszulkach patriotycz-

nych oraz na tatuażach. Tatuaż wydaje się szczególnie interesujący i ważny. Nie mamy tu bowiem do czynienia tylko z estetyką, ale z wykorzystaniem ciała i z magicznym wymiarem tatuaży. Z drugiej strony w owej wizualnej zoopolityce historycznej pojawia się figura wilka; wilk to oczywiście 'Żołnierz Wyklęty' („Żołnierze Wyklęci żyli prawem wilka”, jak głosi napis na plakacie). Warto zwrócić uwagę, że figura wilka promieniuje na nowe generacje (przedstawione jako młode wilczki). Dotyczy to zwłaszcza harcerzy, którzy afirmują postępowanie 'Żołnierzy Wyklętych' i organizują się na zasadzie „watahy”.

No i oczywiście nasz totem, tj. orzeł. Nie będę tutaj wchodziła w zawilości ornitologiczne. Wiadomo, że polski orzeł to nie żaden orzeł bielik, ale to inna sprawa, ponadto wiele by mówić na temat sposobów jego przedstawiania. Chciałam jednak Państwu pokazać, jak ten totemiczny orzeł wygląda. W okresie międzywojennym Marszałka Józefa Piłsudskiego często przedstawiano jako orła (np. na okładce książki Tadeusza Michała Nittmana „Mały Piłsudczyk”), zaś na plakacie wyborczym z 1919 roku Edwarda Okunia, orzeł staje się patronem/opiekunem Piłsudskiego rozpościerając nad nim skrzydła. Swoistej deifikacji podlega także husaria, którą też łączono z orłem — na wielu przedstawieniach biały orzeł jawi się jako patron husarii. Husaria w swoich skrzydłach miała także orle pióra. Dehumanizacja człowieka poprzez animalizację (Polak-patriota-orzeł lub wilk) jest w polskim imaginariu bardzo charakterystyczna i zasługuje w kontekście dzisiejszych zmian światopoglądu politycznego (z wyraźnym aspektem nekro- i zoo-nacjonalizmu) na szczególną uwagę. Ciekawa jest także kwestia łączenia przedstawienia orła z krzyżem, gdzie orzeł występuje jako duch święty. Motyw, wykorzystanie opatrnościowej roli orła, jest również widoczny. Naskicowane wyżej zjawiska są jak sądzę związane z mniej czy bardziej świadomymi próbami wykreowania (czy raczej powrotu) do innego niż człowiek przodka.

Chciałam jeszcze raz podkreślić, że dla mnie demokracja nie jest bytem danym raz na zawsze. Obserwując wyłanianie się (i kształtowanie) tak specyficznego imaginariu społecznego, nie widzę w przyszłości miejsca dla demokracji, przynajmniej takiej, o którą walczyło moje pokolenie. Widzę natomiast odradzanie się myślenia plemiennego, wykorzystującego figury *exhumanta* jako bohatera (nekrolataria polityczna) i powrót do (terytorialnego) totemizmu (orzeł, wilk).

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję Pani Profesor za wiele ciekawych wątków, do których na pewno się odniesiemy w dalszej części dyskusji. Zapraszam teraz do zabrania głosu Pana profesora Stanisława Jankowiaka.

STANISŁAW JANKOWIAK: Panie Przewodniczący, Szanowni Państwo, spróbuję coś mądrego powiedzieć po półgodzinnym referacie i czterech wcześniej-

szych wystąpieniach, które dotknęły wszystkich najważniejszych problemów i... włożę kij w mrowisko.

Mam wrażenie, że zarówno Apel z Blois, jak i tekst profesora Krzysztofa Pomiana, a także część naszych dotychczasowych wystąpień, to swego rodzaju próba usprawiedliwienia przed samym sobą rzeczywistości, w której żyjemy. Cóż więc, nie zgadzam się z pewnymi rzeczami, które się dzieją, ale z drugiej strony, tak naprawdę nie widzę szans na to, abym mógł zrealizować wszystkie postulaty Apelu z Blois, bo wyobraźmy sobie historyka, który żyje w próżni. No nie żyje, a jeśli nie żyje w próżni, to musi odnosić się do rzeczywistości, w której przyszło mu żyć.

Pewien kronikarz pisząc na dworze księcia napisał dzieje rodziny, których nie zweryfikujemy, bo mamy za mało źródeł, ale są piękne i są tak przedstawione, żeby pasowały do oczekiwań. Czy dzisiejszy historyk może zachowywać się inaczej? Powinien, co do tego jesteśmy zgodni, powinien się oderwać od wszelkiego koniunkturalizmu, powinien patrzeć sobie codziennie rano w lustro, bo ja myślę, że to jest najprostszy kodeks moralny historyka, budzę się rano i jeśli będę potrafił patrzeć sobie w oczy, to znaczy, że wczoraj lub w nocy nie napisałem niczego takiego, pod czym nie chciałbym się podpisać, natomiast pokusa ulegania pewnym wpływom będzie istniała zawsze. Kiedyś to był prosty schemat konfliktu Wschód — Zachód i w ten schemat się wpiśywaliśmy, wtedy też szukaliśmy identyfikacji na poziomie Słowiańszczyzny. A dziś? Dziś, ponieważ czasy się zmieniły, próbujemy sięgać po te argumenty, które są czytelne dla odbiorcy. No i tu jest moim zdaniem istota problemu — odbiorca.

Jakiego mamy odbiorcę? Nie wiem... Czy to będzie czytelnik amerykański czy polski... Mamy odbiorcę kiepsko wykształconego, do którego subtelne argumenty nie trafiają... Inaczej, gdy poddamy się tej polityce, ona działa jak pokusa dla części historyków, żeby wyjść do ludzi z czymś nowym, czymś oryginalnym, żeby odpowiedzieć na te odczucia społeczne, bo wtedy historyk trafia do odbiorcy. Jeśli więc nie zaczniemy edukować tak, aby to nie budziło wyłącznie emocji, aby nie sugerowało określonych rozwiązań, to nie oczekujemy, że politycy nie będą sięgali po przeszłość w określony sposób, nie uprawiali swojej polityki kosztem historii. Polityka historyczna dotyczy wszystkich, państw, społeczeństw, władzy, akurat polska polityka historyczna od kilku lat wydaje się wyjątkowo chaotyczna. Co nie znaczy, że nie trafia do określonego odbiorcy.

Wróć więc do tezy, że jaki jest odbiorca polityki historycznej, taka jest ta polityka i tacy są historycy, przynajmniej niektórzy, ci którzy chętnie wpisują się w schematy polityczne czasu, w którym żyją i pracują.

Podam przykład. Kiedy padła po raz pierwszy propozycja stworzenia słownika opozycji, to były początki istnienia IPN-u, jeszcze takiego z moralnym

kręgosłupem, ja sam byłem przeciwny tworzeniu takiego słownika. Z bardzo prostego względu. Po pierwsze nie mamy źródeł, które pozwoliłyby zbudować taki panteon obiektywnie i już nawet nie chodzi o to, jaka była prawda historyczna, tylko chodzi o to, aby bohater nie funkcjonował obok bandyty w jednym słowniku. Bohaterowie na to nie zasłużyli, oni wiedzieli jak było naprawdę, my dzisiaj możemy tego nie wiedzieć i prosty schemat, że jak zastrzelił PPR-owca to jest bohaterem, nie rozwiązuje nam tego problemu.

Tymczasem obserwuję nadgorliwość, nie tylko wśród historyków, ale także wśród niektórych edukatorów, w tym nauczycieli. Jakiś czas temu ogłoszono konkurs plastyczny o Katyniu dla klas 1-3 w pewnej miejscowości, gdzie wyróżnienie otrzymał autor/autorka pracy przedstawiającej samolot z prezydentem. Nie żartuję. Po prostu organizatorzy konkursu szybko wpisali się w pewną politykę, koniunkturę, w schemat, który w tym konkursie oczywiście zadziałał.

A oto kolejny przykład, taki sam co do istoty poddawania się trendom czy koniunkturom politycznym. Po transformacji ustrojowej przyszedł do mnie pewien Pan i spytał, czy można by było udowodnić tezę, że poznański Czerwiec '56 to początek przemian kapitalistycznych w Polsce. Ja mu mówię:

— Wie Pan, jak kwota będzie odpowiednia, to wszystko da się udowodnić.

On to potraktował poważnie, nie zrozumiał o co mi chodzi i mówi:

— A ile?

Ja na to:

— Tyle, żebym jako historyk nie podpisywał już niczego swoim nazwiskiem, bo mi nikt nie uwierzy.

Tak... dziś potrafimy instytucjonalnie promować książkę, która ma za zadanie, jawnie a nie w ukryciu, obalić jakiś autorytet tylko dlatego, że to jest 'nie nasz autorytet' i nie pasuje do obecnej wizji. Na te praktyki apele nie pomogą, bo to jest kwestia nie tylko kodeksu, bo taki kodeks możemy sformułować, on zresztą jest stosunkowo prosty, tylko problem postępowania według pewnych zasad, których albo chcę przestrzegać, albo nie. Jeśli tego nie będę robił, stanę się użyteczny dla polityków, nie będę już raczej historykiem, ale wciąż będę autorem tekstów, które będą służyły tej czy innej polityce historycznej.

Jeśli ojcowie założyciele Unii Europejskiej mieli pewną wizję przyszłej Europy, to mieli wizję utopijną. Myślę, że wizja w której historycy umówią się, że od dzisiaj będziemy rzetelnie prowadzili badania i będziemy publikowali prawdziwe wyniki tych badań bez względu na konsekwencje, jest czymś podobnym. Zgadzam się z większością tez zawartych w Apelu z Blois, a także spostrzeżeń poczynionych przez moich przedmówców, ale chciałbym, abyśmy się jednak trochę posprzeczcali tu...

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję Panu Profesorowi za wyrażenie stanowiska. Z pewnością przyjdzie czas na spór podczas tej debaty, ale zanim to nastąpi, proszę o głos Panią profesor Barbarę Klich-Kluczewską z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Dziękuję bardzo za zaproszenie. Chciałabym poruszyć dwa wątki, aby pokazać pewne problemy interpretacyjne, które są związane nie tyle z samą pamięcią historyczną, co z historiografią, chociaż zgadzam się z poprzednikami, że rozróżnienie pomiędzy pamięcią i historią nie jest oczywiste. Nie jest to oczywiste nawet w świetle rozdziału ról historyka — popularyzatora i badacza. Dla mnie te role są nierozdzielne, w zasadzie każdy z nas był wielokrotnie proszony, by napisać tekst popularyzatorski. Mało tego, dzisiaj jesteśmy wprost zobowiązani do tego, żeby popularyzować wyniki swoich badań (w ramach grantów), aby występować w mediach, edukować, stajemy się więc poniekąd nauczycielami historii. Wielu historyków uprawia aktywnie dziennikarstwo, chociaż obecność historyków i historyczek w mediach wymagałaby jak sądzę osobnego rozważenia. Więc rozdzielność tych ról to część utopijnego świata, o którym mówili moi poprzednicy.

Zastanawiając się nad tematem naszego panelu, cały czas wracało do mnie wspomnienie niedawnych obchodów stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę wraz z dwoma problemami: jeden dotyczy siły polskiej polityki historycznej, drugi zaś – historii kobiet i historii płci.

Mój kolega dr Marcin Jarząbek opublikował niedawno komparatystyczną książkę o kształtowaniu pamięci o I wojnie światowej w dwudziestoleciu międzywojennym [„Legioniści i inni. Pamięć zbiorowa weteranów I wojny światowej w Polsce i Czechosłowacji okresu międzywojennego”], która jest żywym dowodem na to, jak skuteczna jest polityka historyczna i jak skuteczne były upamiętniające działania państwa i w sferze publicznej, i historiografii w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Były one tak skuteczne, że dziś pamiętamy obecność polskich obywateli w działaniach zbrojnych tego czasu niemal wyłącznie przez pryzmat doświadczeń legionistów. Marcin Jarząbek dowodzi jakie i jak skuteczne były mechanizmy kształtowania polityki historycznej II Rzeczypospolitej przez państwo. Gdy idzie o wiedzę historyczną, skutki tej polityki odczuwamy do dziś.

Druga kwestia, która mnie zajmuje, a to dlatego że sama badam między innymi historię kobiet czy szerzej historię płci kulturowej, jest ściśle związana z dyskusją na te tematy w mediach elektronicznych, które tworzą alternatywny obieg, i nową, znacznie bardziej niezależną formułę dyskusji. Zarazem dyskusja ta jest niejednorodna i rozproszona. To właśnie w mediach elektronicznych jest dziś żywo dyskutowana kwestia praw politycznych ko-

biet, co jest o tyle ważne, że historyczki rzadko bywają zapraszane do licznych debat publicznych towarzyszących świętowaniu niepodległości. To jest jeszcze jedno antyrównościowe oblicze polityki historycznej, której konsekwencje widoczne są też w historiografii, gdzie nie tylko brakuje historii kobiet, ale nie zauważa się też kobiet piszących tę historię.

Warto jak sędzę przyjrzeć się uprawianej w Polsce polityce historycznej i problemowi służebności historyków także z nieco innej perspektywy. Otóż intryguje mnie związek polityki historycznej z pojęciem *state sponsored historiography* czy *state sponsored history*. Nie spotkałam się z tym, żeby ktoś w Polsce takiego pojęcia używał, a warto chyba zastanowić się nad tym, kto w Polsce dysponuje władzą wynikającą wprost z zarządzania funduszami nad tym, jakie badania i gdzie są prowadzone. Oczywiście możemy to wiązać przede wszystkim z określonymi instytucjami, które państwo wprost finansuje i na które może wpływać (choć nie musi) za pośrednictwem komitetów czy rad naukowych jak np. Instytut Pamięci Narodowej. IPN to jednak tylko jeden z przykładów uwikłania historii, bo wśród inicjatyw państwowych jest też przecież europejski podręcznik do historii. Ale czy uniwersytety też są takimi agendami? Otóż tak i nie, bo są one finansowane przez państwo, ale nie ma wyraźnych dyrektyw dotyczących obszarów naszych badań i ich tematyki. W Stanach Zjednoczonych istnieją agendy państwowe skoncentrowane na badaniach dziejów konkretnych instytucji państwowych, na przykład federalnych (czy też ogólniej — historii federalnej). Z jednej strony są one krytykowane, za to że koncentrują się na konkretnej instytucji promując pośrednio jej działania i skutki tych działań, ale z drugiej strony podnosi się, że w badaniach dotyka się tematów, których nikt wcześniej nie analizował, dlatego że historycy nie mieli dostępu do pewnych źródeł. I to jest zdaje się kasus IPN. Nie wiem czy w naszym kontekście taka interpretacja służebności wyjaśnia wszystkie problemy zależności. Być może wyjściem z sytuacji jest każdorazowe jasne umiejscowienie badań w szerszym kontekście danego projektu badawczego i źródeł jego finansowania. Co prawda nie wierzę, że historyk jest do końca obiektywny, czy też w ogóle obiektywny, ale moim zdaniem bardzo ważne jest czy jesteśmy niezależni w swoich sądach. Kiedy wydajemy książkę nie powinniśmy się zastanawiać, czy komuś to się spodoba czy nie. Nie chodzi mi przy tym o względy merytoryczne i krytyczną opinię środowiska badawczego, która — za pośrednictwem recenzji i debaty — powinna wpływać na ciągły rozwój historiografii. Raczej stawiam pytanie o naszą, historyków, autonomię, o autonomię badań i publikacji, która w jakiejś mierze zależy od nas samych i — często — siły opierania się presji czy akceptowania krytyki.

W swoich badaniach zajmuję się przede wszystkim historią zwykłych ludzi, podobnie jak Państwo chodzę więc do archiwów, gdzie badania za-

czynam na podstawowym poziomie, to znaczy sięgam na przykład do kart dzieci, które były w domu dziecka w latach 1945-1989, które to karty pięć lat temu mogłam dostać, mogłam je przeczytać i — po całkowitym zanonimizowaniu danych i ich uogólnieniu — wykorzystać. Tymczasem w tym roku, gdy poprosiłam o ich udostępnienie, usłyszałam odmowę z powodu RODO. Czy to jest jeszcze polityka historyczna? Czy blokowanie dostępu do danych archiwalnych, bez których trudno uprawiać historię autonomicznie, jest kwestią polityki czy... niewiedzy, asekuranctwa?

Na koniec chciałabym zwrócić uwagę na polityczność w kontekście potrzeby uznania dla kobiet zawodowo zajmujących się historiografią. To jest już kwestia środowiskowa: równości płci w środowisku historycznym i reprezentacji kobiet i mężczyzn w tym środowisku. To także jest polityka, czy nam się to podoba czy nie. Dam przykład konkretnego wydarzenia i jego konsekwencji. W 2017 roku podczas dorocznego kongresu *Institut d'histoire de l'Amérique française* zorganizowano panel dotyczący wyzwań związanych z *public history*. Do udziału w tym spotkaniu zaproszono czterech ekspertów — mężczyzn (nie licząc moderatorki) w związku z czym przez media społecznościowe przetoczyła się fala oburzenia i złości. Wtedy też grupa francuskich humanistek na wzór politolożek stworzyła portal <https://womenalsoknowhistory.com>, który dziś gromadzi trzy tysiące kobiet. Ten portal był i jest próbą wywarcia presji na własne środowisko, ale i na media. Twórczynie postawiły sobie za cel informowanie opinii publicznej o kobietach, które są ekspertkami w swojej dziedzinie. To poczucie irytacji z powodu wykluczenia z debaty eksperckiej przypomina mi nieco atmosferę, która zapanowała w mediach społecznościach po kolejnej konferencji rocznicowej w roku 1918, w której programie nie było ani jednej historyczki, chociaż badaczek tego okresu nie brakuje.

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję profesor Barbarze Klich-Kluczewskiej i zapraszam do rozmowy Pana profesora Konrada Białeckiego.

KONRAD BIAŁECKI: Serdecznie dziękuję za zaproszenie, dziękuję za możliwość zabrania głosu w trakcie tej niezwykłej dyskusji. Wiele wątków poruszonych przez moich rozmówców uważam za bardzo ważne, kilka sam chciałem poruszyć, ale nie chciałem tu występować w roli echa, powtarzać tego, co już zostało powiedziane. Dlatego odniosę się do tych kwestii, które tu nie wybrzmiały, a które jako zamykający debatę chciałem zasygnalizować, jako także ważne.

Jeżeli chodzi o treść Apelu z Blois — pełna zgoda, co do zasady, myślę, że ten Apel jest oczywisty, choć, jak to ujęła profesor Anna Landau, a powtórzył profesor Jankowiak, Apel ten jest też troszkę naiwny. Ale... tak oczywiście,

pełna zgoda — wolność badań naukowych jest bardzo ważna i nie powinniśmy absolutnie akceptować czegoś takiego, jak próba karania, czy nas czy innych historyków za rzetelnie prowadzone badania naukowe. Kładę tutaj jednak nacisk na słowo „rzetelne”, a to dlatego, że w innych obszarach życia społecznego, na przykład gospodarczego, jeśli jakaś firma zostanie oczer-niona, wytacza proces osobom, które się tego dopuściły i nie ma w tym nic dziwnego. W przestrzeni biznesowej to jest oczywiste, że nie podważa się, nie posiadając po temu rzeczowych argumentów, czyjejs wiarygodności, bo naraża się jego markę na straty. Mam wrażenie, że czasami niektórzy przedstawiciele świata polityki, i jest to raczej zjawisko globalne, w ten sam sposób myślą o świecie nauki, to znaczy, że proponują sankcje karne za naruszenie dobrego imienia państwa i jego obywateli, jakby chodziło o markę.

Tymczasem jeśli chodzi o środowisko historyków, wydaje mi się, że tak jak powiedział profesor Ruchniewicz, to samooczyszczanie się naszego środowiska, z tych osób, które nie kładą wystarczającego nacisku na rzetelność badań naukowych, powinna polegać na czym innym, na sile autorytetu środowiska, aby kogoś uznać lub nie za rzetelnego badacza, i to się w istocie dzieje. Problem pojawia się rzeczywiście tam, gdzie, na co zwrócił uwagę profesor Pomian, tworzona jest szkolna narracja historyczna, której autorami nie są zwykle historycy — badacze i to nie oni decydują o tym, co się znajdzie w programach i podręcznikach, poddanych zresztą grze rynkowej. Gdyby to historycy czy szerzej środowisko historyczne, tylko i wyłącznie decydowało o tym kto i jakie podręczniki pisze, może sytuacja byłaby lepsza? Z drugiej strony różnorodność podręczników historii, traktowana jest jako jedna ze zdobyczy demokratycznych.

Tutaj dotykamy jeszcze jednego problemu, myślę bardzo istotnego, a mianowicie, co w tym podręczniku powinno być napisane? My sami doskonale wiemy badając różne zagadnienia, że niejednokrotnie stajemy w sytuacji człowieka, który może powiedzieć:... dobrze dotąd na podstawie dokumentów, różnego rodzaju źródeł mogę z jako taką pewnością, chociaż nie stu-procentową, powiedzieć, że to było w ten i ten sposób, ale w tym momencie to mogło być tak, albo tak”. W podręcznikach szkolnych nie ma miejsca na tego typu rozważania, dlatego że podręczniki szkolne bardzo często kierują się zasadą, że całość musi tworzyć pewną spójną narrację. Musimy niejako wybrać jedną z tych możliwości, żeby ona pozostawała kompatybilna z całą resztą. To jest pewnego rodzaju problem, który stoi przed twórcami chyba każdego podręcznika, zatem pewne uproszczenia stosowane przez tych, którzy na codzień zajmują się historią szkolną, one nie zawsze muszą wynikać tylko ze złej woli, tylko z chęci, czasem przesadnego sformatowania, tego co się chce przekazać do takiego poziomu, który będzie możliwie przystępny i, co ważniejsze, możliwy do przyswojenia przez młodego odbiorcę.

Inny wątek to fakt, iż profesor Krzysztof Pomian za przyczynę niekorzystnych zjawisk na gruncie szeroko pojętej polityki historycznej czy pamięci uważa nacjonalizmy, pójsie w taką argumentację możemy też obserwować w Muzeum Historii Europy w Brukseli. Tam nacjonalizmy występują jako podstawowy nośnik kłopotów w Europie. A jednak, choć ta narracja jest na pierwszy rzut oka kusząca, pociągająca, to już próba powiedzenia, że to nacjonalizmy są wszystkim winne, w związku z tym zrezygnujemy z nich, nie dla wszystkich wybrzmiewa równie przekonująco. Dotyczy to np. wspólnot, które doświadczone w przeszłości, własne niezależne państwo uważają za ważny instrument realizacji ich własnych interesów, zarówno jednostkowych, jak i grupowych. To może dotyczyć Katalończyków, Kurdów... Dla tych i innych wspólnot propozycja, aby w imię przyszłości zapomnieć o tym, co je dzieli z większymi, w sensie siły politycznej wspólnotami, nie jest kuszące, oni nie chcą zgodzić się na taki „fukuyamowski” koniec historii, która dla nich, dla wielu, wcale się nie skończyła.

Trudno mi też zaakceptować postulat profesora Pomiana, aby w pewien sposób, mimo wszystko, zrezygnować z polityki historycznej. Myślę, że to jest czysta utopia, żadne państwo z tego nie zrezygnuje z bardzo prostego względu, ponieważ jest to traktowane, jako jeden z rodzajów broni, tak realnie, w którą uzbrojone są inne podmioty w wymiarze politycznym, czyli inne państwa. Tego typu postulat kierowany na przykład pod adresem Polski, można byłoby potraktować jak powrót do sytuacji, w której Polska znalazła się przed zaborami. Jan Jakub Rousseau zachwycał się wtedy naszym ustrojem, tym że jednostka mogła się przeciwstawić większej grupie, chwalił liberum veto, zachwycał się, jakież to wspaniałe ustrój mają Polacy... ale potem doszło do rozbiorów. Wokół nas bowiem panowały nie demokracje szlacheckie, ale monarchie absolutne.

Polityka historyczna nie znosi różnic w podejściu do przeszłości historyków i polityków. Nie próbuję tu być adwokatem polityków, staram się po prostu zrozumieć, dlaczego oni tak, a nie inaczej postępują. Z ich punktu widzenia lepiej być ofiarą w tym międzynarodowym dyskursie, niż tym, który był sprawcą opresji. Logika państwa i jego polityki jest więc taka, że trzeba podejmować wszelkie działania aby, mówiąc w bardzo dużym uproszczeniu, być bardziej ofiarą w tej opowieści międzynarodowej, niż tym, który był złym. Chciałbym bardzo mocno podkreślić, że jako historycy nie musimy, a nawet nie powinniśmy w tego typu narrację świadomie się wpisywać.

Kończąc, chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną istotną przeszkodę, która przed nami staje, mianowicie dziś obserwujemy coś takiego, co można byłoby nazwać silnym osłabieniem autorytetu środowisk akademickich czy tego, co się nazywa światem naukowym i dotyczy to nie tylko historyków, a może nawet nie przede wszystkim, dotyczy to ekonomistów, dotyczy to ba-

daczy dziejów społecznych. Nagle dzisiaj okazuje się, że pewne prawdy, które nam do tej pory przekazywano czy pewne informacje, które były przekazywane jako obiektywne ustalenia naukowe, można podważyć. Co więcej, to były obiektywne ustalenia naukowe dotyczące takich dziedzin wiedzy, które wydają nam się łatwiejsze do rzetelnego ustalenia niż historia — ekonomia, fizyka — bo i tutaj są gorące dyskusje, wiem to od kolegów fizyków. To podważenie w przestrzeni publicznej zaufania do, mówiąc bardzo umownie, profesora danej dziedziny, wpływa mocno na to, że do opinii publicznej trafiają inne, nie koniecznie autoryzowane przez ludzi nauki, dyskursy. Oczywiście to jest cała przestrzeń związana ze środkami przekazu, my preferujemy napisanie opasłego tomu, w którym wszystko z przypisami przedstawimy, podczas gdy w powszechnym odbiorze, ciekawsze jest to, co wrzuci vloger w pięciominutowym filmiku na youtube i to ma dużo większe pole rażenia. To też wymaga od nas rozważenia. Czy mamy pójść w tę stronę, czy mamy porzucić te opasłe tomy pełne wątpliwości, na rzecz pięciominutowych filmików w zamian za większą możliwość oddziaływania, czy też pozostać w tej naszej bezpiecznej niszy...?

MARIUSZ MENZ: Szanowni Państwo, dziękując naszym Panelistkom i Panelistom za udział w pierwszej części debaty, zapraszamy do części drugiej. Oddaję zatem głos publiczności.

ANNA WACHOWIAK: Mam pytanie do profesor Anny Landau, która nie ma wątpliwości, że socjologia karmi się utopią o obiektywności, ale obiektywna nie jest. A przecież metodologia badań rozwijana i praktykowana przez socjologów mówi coś innego..., zwłaszcza socjologia ilościowa. Czy może Pani to skomentować? Podobne pytanie kieruję do profesora Ruchniewicza, czy istotnie nie można mówić o obiektywizmie w badaniach historycznych, skoro i tu metodologia spieszy historykom z pomocą?

RADOSŁAW KOSAK (UNIwersytet Rzeszowski): W artykule profesora Krzysztofa Pomiana, tak wynikało z Państwa wypowiedzi, jest postulat, aby polityki historycznej, nie było. Ale ona jest. Mam zatem pytanie do Panelistek i Panelistów, czy polityka historyczna legitymizuje istnienie partii politycznych i czy to wpływa na ich trwałość?

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję za pierwszą turę pytań i proszę o komentarze i odpowiedzi.

ANNA LANDAU: Ja chciałabym się przede wszystkim odnieść do pytania, czy ilościowa socjologia jest socjologią obiektywną. Moim zdaniem nie jest,

gdyby była, to z góry znalazlibyśmy wyniki wyborów, a jakoś chyba ich nie znamy. To każe mi myśleć, że nawet socjologia ilościowa nie jest obiektywna. A to przede wszystkim ze względu na to, że to nie kto inny, jak badacz stawia pytania. W zależności od tego, jak postawi pytanie, taką może uzyskać odpowiedź. Jeżeli badacz zapyta: „czy uważasz, że rasy ludzkie są zróżnicowane?”, to prawdopodobnie przeprowadzając najbardziej rzetelne pytania na próbie losowej otrzyma inny wynik niż, jakby postawił pytanie, „czy uważasz, że nie ma różnic pomiędzy rasami”. Nie mówię o doborze próby, która tutaj też jest istotna, nie mówię o odmowach udzielenia odpowiedzi, które w Polsce są bardzo liczne i zaburzają wszystkie badania niezależnie od woli badacza. Ale jeżeli badacz sam przeprowadza ankietę, to dostaje wyniki bardziej zgodne z jego hipotezą wyjściową, niż jeżeli zleca to komuś innemu. Ja nie mówię, że to są badania całkiem nieobiektywne, ale obiektywizm, moim zdaniem, w naukach humanistycznych i społecznych nie istnieje, można dążyć do niego jako do ideału i może nawet powinno się dążyć, ale za każdym razem pamiętając, że to jest tylko dążenie, natomiast skutek jaki jest, każdy widzi. Jeżeli się o tym nie pamięta i uważa się, że własne badania są całkowicie obiektywne, to jest to bardzo poważny błąd badacza, bo to oznacza, że on ma rację, a inni się mylą. To jest dosyć trudne do przyjęcia.

A drugie pytanie — legitymizacja partii politycznych dzięki polityce historycznej... No cóż, można powiedzieć, że polityka historyczna istnieje, nie wiem czy powinna istnieć, ale istnieje i zawsze będzie istnieć i dopóki są szkoły, muzea i wiele innych instytucji i praktyk, ona jest i działa. Ale czy legitymizuje partie polityczne? Powiem krótko i zwięźle, tak albo nie. Czasami zdarza się, że rzeczywiście propaganda, a w wersji miękkiej polityka historyczna, jest na tyle dobra, że przekonuje ludzi. Ale na przykład legitymizacja PZPR-u wzięła się tyleż z propagandy, co z gospodarki, z kolei polityka historyczna PZPR nie przekonała ludzi do pewnych racji, a i tak dosyć gruntownie została zrewidowana. Skoro partia kłamała, że w sklepach jest pełno mięsa, a ludzie stali w kolejkach, to było oczywiste, że kłamie też na temat przeszłości.

KRZYSZTOF RUCHNIEWICZ: Pozwólcie Państwo, że przytoczę krótki cytat, mogę nawet zrobić mały konkurs, czy ktoś z Państwa wie, kto to powiedział i kiedy? Cytat, jak najbardziej wiąże się z tematem naszej debaty:

Niełatwo jest pisać historię współczesności, jednak należy tę historię pisać, gdyż jest potrzebna. Piszę się ją nie roszcząc sobie pretensji do osiągnięcia ideału, przyszły historyk poprawi błędy dzisiejszego historyka (także proszę się nie dziwić, jeżeli coś napiszemy, państwo możecie spokojnie poprawić, jeżeli popełnimy jakies błędy). Zresztą i on będzie miał wielkie trudności, choć

innego rodzaju, tu obraz za bliski, tam zbyt odległy, ten ocenia wypadki przez pryzmat współczesności, tamten przez szkła zabarwione poglądami i zapartywaniami swojej epoki, jeżeli cię historia czegoś uczy, to przede wszystkim uczy historia najnowsza, musimy zatem utrwalić jej bieg.

Przed 80 laty, żeby uprościć trochę sprawę, napisał to Adam Próchnik w publikacji na pierwsze 15 — lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Zachęcam Państwa, abyście sięgali do starszych publikacji i szukali tam pewnych inspiracji.

A teraz, odpowiadając na pytanie o udział polityki historycznej w legitymizacji partii politycznych... Czuję się przy tym stole bardzo dziwnie, bo mówimy o podstawowych rzeczach. Wydawało mi się, że mimo wszystko jesteśmy o krok dalej i potrafimy odróżnić co jest zawodem historyka, co jest naszym zadaniem jako obywatela, a co jest zadaniem społecznym. I teraz, jeżeli ktoś z Państwa mówi przy tym stole, że historyk, jeżeli pisze artykuły to hm hm hm... Ja proszę Państwa od kilku lat prowadzę naukowego bloga, ja uważam, że nie jest to dla mnie żadną ujmą, jeżeli mam nie jednego bloga, tylko dwa i znajduję na to czas, żeby w miarę regularnie pisać na te blogi artykuły popularnonaukowe, ponieważ tak widzę moje zadanie społeczne. Ktoś, kto to czyta, może się z tym zgadzać, ale nie musi. Nie uważam wcale, mając na uwadze, z jakimi konfrontacjami mamy do czynienia właśnie w nowych mediach, żeby historyk ograniczał się tylko do opasłych tomów. Proszę Państwa, kto to przeczyta dzisiaj? Każdy z nas, kto wydaje jakąkolwiek książkę, jakkolwiek artykuł doskonale wie, że ten artykuł przeczyta może kolega, koleżanka, która recenzuje daną książkę, ewentualnie dwa, trzy egzemplarze takiego czy innego artykułu, jeżeli on nie zostanie zadany przez profesora, czy prowadzącego zajęcia do powielenia wśród studentów. Kto sięga dzisiaj np. do „Dziejów Najnowszych”, kto sięga do „Kwartalnika Historycznego”, kto śledzi na bieżąco, co się dzieje w tych czasopismach? Od tego jest Internet, a studenci naturalnie pytają nas o to, czy zadana lektura jest w wersji elektronicznej. Tak, to jest dostępne w wersji elektronicznej, można to po prostu udostępnić.

I teraz proszę Państwa do czego zmierzam, zmierzam do tego, o co Pani mnie zapytała. Ja mam z tym duży problem proszę Pani, bo tak, z jednej strony, ja nie mam żadnych problemów, jeżeli są instytucje, organizacje, które np. są zainteresowane korygowaniem takich czy innych błędów, które się popełnia przy pisaniu tego, czy tamtego, tylko ja bym spojrział na to trochę szerzej, czy to nie stało się naszą psychozą. Równocześnie podkreślając to, czy tamto, nie zaciemniamy swojego własnego obrazu, bo co z tego np., że kilka lat temu wprowadzono oficjalną nazwę Niemiecki Narodowosocjalistyczny Obóz Koncentracyjny Auschwitz — Birkenau. Wszystko się zgadza

i to jest w różnych językach, można to po prostu wymienić, ale proszę Państwa, sięgnijcie do polskich publikacji i zobaczcie, w jaki sposób polskie publikacje piszą o obozach koncentracyjnych, ja nie mówię teraz o zagranicy, ja sobie wypisałem listę, to jest około 20 różnych pojęć, według których polskie MSZ sprawdza, czy jakaś fraza może powodować interwencję w tej sprawie. Tak to niestety po prostu wygląda. Teraz moje pytanie jest takie, jeżeli ja czytam takie, czy inne wypowiedzi Polonii amerykańskiej, to z jednej strony zgadzam się, że jest to ważna rzecz, taka interwencja, taka obrona dobrego imienia wspólnoty, ale równocześnie, gdy czytam publikacje tej samej Polonii, to włosy rwę z głowy, ponieważ ja nie widzę tam dialogu, ja nie widzę tam tolerancji, nie widzę tam nawet dystansu do historii Polski, do zajmowania się historią Polski, więc spójrzmy na ten problem troszeczkę szerszej i znowu jako historycy zaangażowani, zwłaszcza w historię najnowszą, jasno sformułujmy nasze oczekiwania i zastanówmy się czy one w jakiś sposób zostaną przyjęte, czy też po prostu nie. To co Pani mówiła o dążeniu do obiektywności. Co to znaczy obiektywność? Kto ją definiuje? Definiują ją moje studia, moja praktyka, moje doświadczenie. I teraz, jeżeli coś jest w źródle, no to oczywiście, ja przedstawiam to źródło. Moim zadaniem jest to próba stworzenia pewnej narracji i albo ta narracja Państwa przekona i uznacie, że jest to narracja, którą akceptujecie i będziecie ją korygować, jeżeli uznacie, że trzeba ją korygować, albo nie. To nie jest jeszcze uprawianie polityki.

Między polityką historyczną i historią jest jedna generalna różnica i myślę, że w tym miejscu powinno to paść. Dla nas — historyków najważniejszą rzeczą jest reputacja, tę reputację budujemy przez wiele dziesiątków lat, właściwie od samych studiów budujemy sobie tę reputację. Była mowa o tym czy jesteśmy autorytetami czy też nie. Tak, jesteśmy, ponieważ to jest nasza praca, zawód historyka to jest bieg długodystansowca. Tę reputację można bardzo szybko, można ją stracić jednym nieodpowiednim słowem, jednym nieodpowiednim wystąpieniem, właściwie nikt z nami w środowisku już się nie będzie liczyć. Musicie mieć tego świadomość. Polityk natomiast ma gdzieś tę reputację, dla niego ważniejszą rzeczą jest, ilu pozyska zwolenników, tak naprawdę on może nawet kłamać, to może się nam nie podobać, ale to jest jego praca, on ma być przekonujący, ma porwać tłumy, natomiast to nie jest moim zadaniem, więc jeżeli mówię o polityce historycznej, to jak najbardziej wydaje mi się rzeczą ważną i powinniśmy obserwować te działania jako pewien przedmiot badań, to znaczy to, w jaki sposób historia jest niejednokrotnie instrumentalizowana na potrzeby bieżącej polityki i tutaj jak najbardziej wydaje mi się rzeczą ważną, ażeby historyk posiadając większą wiedzę, niż ta przeciętna, obywatelska, mógł reagować.

Ostatni przykład, zdjęcie które było wielokrotnie publikowane w ostatnich dniach — przyjazd Piłsudskiego do Warszawy, wszyscy datowali na rok

1918, podawano też już nazwiska, kto witał Piłsudskiego i tak dalej. Mało kto natomiast zadał sobie trud, żeby sprawdzić, o jakie zdjęcie chodzi i w ogóle się zastanowić czy w roku 1918, mając na uwadze okoliczności przybycia Piłsudskiego z Berlina, żeby był w ogóle jakiś fotograf i mógł po prostu zrobić to zdjęcie. Otóż chyba go nie było, a zdjęcie pochodzi z 1916 roku i dotyczy oczywiście Piłsudskiego, ale całkiem innego wydarzenia, przyjazdu Piłsudskiego z Krakowa. Chcę na tym przykładzie pokazać, że w tym przypadku to jest zadanie dla historyka, wypowiedzieć się na ten temat, ustosunkować się, nie chować głowy w piasek, wykorzystać pozostające w zasięgu historyka narzędzia i instrumenty, aby korygować takie błędy i oczywiście publikować te korekty.

MARIUSZ MENZ: Za chwilę będzie *ad vocem*, ponieważ została zgłoszona taka potrzeba do wypowiedzi profesora Krzysztofa Ruchniewicza, jednak wcześniej chciałbym osobiście odnieść się do tego ostatniego, bardzo ciekawego wątku. W jakiś sposób dajemy się manipulować poprzez wizualizowanie pewnych wydarzeń historycznych, co służy polityce historycznej. Dzieje się to między innymi za pomocą fotografii, które z konkretnym wydarzeniem historycznym niewielki mają związek, ale są poręczne, symbolicznie sprawcze. Jest np. zdjęcie ilustrujące Powstanie Wielkopolskie, na którym widzimy pozycję poznańskich insurgentów z karabinem maszynowym na balkonie, które rzekomo zostało wykonane 28 XII 1918 r. Zdjęcie to jest często wykorzystywane w różnych publikacjach, choć w rzeczywistości nie dokumentuje ono walk powstańczych w Poznaniu. Prawdopodobnie pochodzi z późniejszego filmu. Moim zdaniem niedopuszczalne jest to, że czytelnik o tym fakcie nie zostaje poinformowany.

A teraz proszę o *ad vocem*...

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Nie było moją intencją atakowanie historyków, którzy popularyzują historię, ponieważ sama ją popularyzuję. Chciałabym tylko podkreślić, że świat historiografii nie dzieli się na świat, historyków — badaczy, którzy posługują się źródłami i je interpretują na podstawie najlepszej wiedzy i odrębny świat *public history*, który ma się tymi badaniami posługiwać w celach edukacyjnych. Te podziały są płynne.

MARIUSZ MENZ: Myślę, że wypowiedź profesora Ruchniewicza odnosiła się także do wypowiedzi profesora Konrada Białeckiego w związku z blogami, vlogami, filmikami na youtube... i ich wartością poznawczą. Czy zatem profesor Białecki chciałby zabrać głos *ad vocem*?

KONRAD BIAŁECKI: Jak najbardziej zgadzam się, ja w swojej wypowiedzi byłem jak najbardziej za. Zwróciłem raczej uwagę na to, że jeżeli chcemy mieć realny wpływ na zmianę nastawień do siebie różnych nacji czy grup społecznych, to musimy wykorzystywać też te nowoczesne nośniki przekazu, a nie liczyć tylko na to, że naukowy produkt, opasła monografia, trafi do serc i umysłów masowych odbiorców... Zresztą, śledzę blog Profesora Ruchniewicza z ogromnym zainteresowaniem i naprawdę jestem pod wrażeniem, i myślę sobie, że to jest absolutnie najlepsza droga... kiedy popularyzacją historii zajmuje się historyk, badacz, znawca tematu...

ANNA LANDAU: Dla dobra publicznego, chciałabym zapytać o nazwę i adres bloga, który prowadzi profesor Ruchniewicz.

EWA DOMAŃSKA: To i ja poproszę o *ad vocem*... i przepraszam, że tak profesora Ruchniewicza „podszczypię” — z sympatią oczywiście. Pan Profesor powiedział, że reputacja historyka w środowisku jest niezwykle ważna i my o tym wiemy, ale powiedział Pan także, że nie uprawia polityki. Oczywiście ma Pan rację, że nie uprawia Pan polityki tak, jak robią to politycy, natomiast moim zdaniem wszyscy uprawiamy jakąś politykę. To, że jesteśmy dzisiaj tutaj dyskutując o Apelu z Blois też jest rodzajem polityki; sylabusy naszych zajęć to akty polityczne. Na swoim blogu profesor Ruchniewicz pisze tak:

[...] hołd jaki ofiarom i bohaterom warszawskiego getta złożył niemiecki przywódca Willi Brand, padając w milczeniu na kolana przed pomnikiem, to wedle mnie jeden z najpiękniejszych gestów powojennych europejskiej historii.

Moim zdaniem mamy tu do czynienia z wartościowaniem, które pokazuje, jakie są sympatie Pana Profesora. Ważne jest także to, że taka opinia, która definiuje Pana zarówno jako historyka, jak i jako osobę, która ma określone zapatrywania, pojawia się na blogu, czyli w przestrzeni publicznej. Nie ma w tym rzecz jasna nic niezwykłego, ale uważam, że jeżeli chodzi o politykę historyczną, mówienie o prawdzie w sensie poznawczym jest błędem, bo polityka historyczna nie interesuje się wartościami poznawczymi historii; w polityce historię traktuje się jako wartość użytkową, natomiast możemy się spierać, jak to się ma w przypadku popularyzowania historii, która pozwala historykowi na rozluźnienie gorsetu akademickiej historii, tj. rzemiosła historycznego. Jerzy Topolski zawsze mówił, że historyk powinien mieć intencję mówienia prawdy i intencję bycia obiektywnym. Znamy przecież teorię usytuowania podmiotu poznającego i wiemy, że nie jest możliwe, byśmy kapultowali się z miejsca, w którym żyjemy, ze społeczeństwa, środowiska zawodowego, z płci i patrzyli na przeszłość „z boskiego punktu widzenia”.

Oczywiście wszyscy badacze, nie tylko historii, to wiedzą. Problemem są intencje. Zgadzam się z profesor Klich-Kluczewską, że rozgraniczenie tego co jest polityką, a co historią akademicką jest problematyczne i że jedna na drugą często zachodzi. Dlatego jestem ciekawa, czy odczuwacie Państwo na sobie jakieś efekty prowadzenia polityki historycznej? Chciałabym coś na ten temat usłyszeć przy okazji naszej debaty.

STANISŁAW JANKOWIAK: Nawiążę do tego, że ta tzw. polityka historyczna dzisiaj realizowana w naszym kraju skierowana jest do wewnątrz, a nie na zewnątrz. Wbrew pozorom, to nie jest tak, że my w ten sposób chcemy kształtować wizerunek państwa polskiego wobec innych. To jest ukierunkowane na polskiego odbiorcę, bo to trafia do polskiego odbiorcy. Najlepiej świadczy o tym ile osób na świecie używało określeń „polskie obozy koncentracyjne”, a ile było wejść na stronę, kiedy pojawił się ten problem. Przeraza mnie to, że próbujemy skutecznie, bo to jest efekt skutecznego działania, kształtować pewną wizję przeszłości w nawiązaniu, czy jakby wpłatając, w to bieżącą politykę.

To dziecko w trzeciej klasie szkoły podstawowej, które Katyń skojarzyło z samolotem prezydenckim i katastrofą smoleńską, takiego obrazka samo sobie nie wymyśliło. Każdy z nas skojarzenie z Katyniem ma jednoznaczne, czy słusznie, czy nie... A ja teraz dziennikarzom tłumaczę jak oni przylatują do mnie z Katyniem, że powinni być u mnie 9 lutego 1940 r., bo wtedy po raz pierwszy z Kresów Wschodnich wywieziono 250 tysięcy ludzi na Syberię w bydłych wagonach i to była tragedia, a my koncentrujemy się na 4 400 ofiarach uważając, że to jest symbol całej tej martyrologii. No nie jest, natomiast nieszczęście polega na tym, że historia zaangażowana w bieżącą politykę jest taka, jaki jest odbiorca, tzn. wpisujemy się w oczekiwania odbiorcy po to, żeby to co wymyślimy trafiło do niego, a nie próbujemy kształtować odbiorcy, to znowu niestety wiąże się z polityką i to jest największe niebezpieczeństwo, że to dostało się w niewłaściwie ręce i zmierza w złym kierunku...

MARIUSZ MENZ: Dziękuję, jest *ad vocem*.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Warto chyba zapytać kto kształtuje współczesnego „odbiorcę”, bo on nie jest znikąd, nie jest białą tablicą. Myślę, że niezależnie od tego, co byśmy robili, pewnych rzeczy nie da się skutecznie spopularyzować, podczas gdy inne zjawiska historyczne świetnie „sprzedają się” na tym trudnym jednak rynku. Pewne zjawiska i problemy są interesujące dla społeczeństwa. Wpływ na to mają m.in. media. Coś co jest tabloidowe, bar-

dzo polityczne, co podgrzewa atmosferę, jest konfliktogenne... jest też atrakcyjne.

EWA DOMAŃSKA: Często coś, za czym stoją pieniądze...

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Więc zastanawiam się po pierwsze, skąd się bierze czytelnik czy internauta zainteresowany historią? Jaki jest? Dlaczego Polakom podoba się dzisiaj taka a nie inna historia? Jak ważne jest oddziaływanie szkoły?

STANISŁAW JANKOWIAK: To co najważniejsze dzisiaj dla mnie, to jest to, że dom przestał pełnić rolę budującą pewien obraz przeszłości, że te funkcje przejęli inni aktorzy społeczni, polityczni, komercyjni...

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Czy wiemy, jaką opowieść o przeszłości przekazuje się dzieciom w domu? Czy ktoś robił takie badania?

STANISŁAW JANKOWIAK: Jeżeli ja mówię studentom, że kupno dobrej książki w latach 80. granoczyło z cudem, a nakłady wcale nie były małe, bo wynosiły 20, 30, 40 tys., i książki kupowało się spod lady... ona była wtedy kupowana. To prawda, że nie każdy kupował, żeby czytać, czasami potrzebne były 3 centymetry bieżące na półce, żeby wstawić, no to się wstawiło taką książkę, ale zainteresowanie historią było większe, a niekiedy także głębsze...

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Dzisiaj to zainteresowanie dotyczy historii, ale czy historiografii?

STANISŁAW JANKOWIAK: Dzisiaj interesujemy się pewnym mitem, nie historią. Jeśli facet pisze książkę, w której udowadnia, że powinniśmy w roku 1939 pójść z Niemcami na Związek Radziecki, a całe rzesze młodych to czytają...? Był taki temat na olimpiadzie historycznej „Polska polityka zagraniczna w dwudziestoleciu międzywojennym”, byłem jednym z tych, który oceniał te prace i 3/4 autorów prac udowadniało, że powinniśmy pójść razem z Niemcami na Związek Radziecki w roku 1939. Co to znaczy, to znaczy tyle, że oni nie interesują się historią, ale mitologią i czytają to, co tę mitologię promuje. Teraz wszystko, co wiąże się ze Związkiem Radzieckim jest złe, w związku z tym, ten mit ma się jak najlepiej, a to że w „Mein Kampf” nie ma jednego pozytywnego słowa o Polakach do nikogo nie dociera, nie mają z tym żadnego problemu. Czasem żartuję trochę obiecując studentom, że jeśli znajdą jedno pozytywne zdanie o Polakach w „Mein Kampf” to dam im piątkę z egzaminu... Nie ma takiego zadania!

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Mediewiści przegrywają z kolei z „Wielką Lechią”.

STANISŁAW JANKOWIAK: Tak, to właśnie zainteresowanie mitem, nie historią...

KONRAD BIAŁECKI: Jeśli wolno, dosłownie w kilku słowach chciałbym włączyć się w tę dyskusję. Wydaje mi się, że tym co kształtuje zainteresowanie takimi a nie innymi obszarami, bardziej czy mniej zmitologizowanymi, historii, to jest umiejętność znalezienia formuły ciekawego opowiadania o pewnych zdarzeniach, najlepiej w hollywoodzkim stylu, jeżeli jest akcja, jeżeli są zwroty tej akcji, jeżeli są wyraziści bohaterowie, to wtedy młodzież, bo często mówimy, ach młodzież nie czyta, ach, krótki tekst, czy cienka książka to już jest zbyt duże wyzwanie, ale ja obserwując osoby pomiędzy 10 a 20 rokiem życia widzę, że potrafią one siedzieć, czasem całą noc, aby obejrzeć w całości jakiś serial typu „Wikingowie”, dlatego, że wciągnęła ich wyraziści historia, czy ona jest bardziej czy mniej w szczegółach prawdziwa, to już jest dla nich detal, najważniejsze jest przeżywanie tej przeszłości. Czy to jest dobrze, czy to jest źle — nie oceniam teraz, po prostu obserwuję takie zjawisko. Być może tym zadaniem, które stoi przed historykami, którzy starają się możliwie blisko trzymać tego, co na dzisiaj wiemy o pewnych wydarzeniach z przeszłości, jest powiązanie umiejętności łączenia tego, co jest topowe dla młodzieży i prawdziwe dla historyka poprzez stosowanie jak najciekawszych form przekazu przez tego ostatniego. W dawnej Irlandii, obok druidów byli filidzi. Zadaniem tych ostatnich było, nieco upraszczając, ciekawe opowiadanie o przeszłości. Byli oni utrzymywani przez króla, czyli przez ówczesną władzę, i ich zadaniem było jak najciekawsze opowiadanie o przeszłości, oczywiście przemycając elementy korzystne dla tej władzy i budując poczucie więzi lokalnej wspólnoty. Mam wrażenie, że choć przy pomocy innych środków, ciągle kontynuujemy tamtą tradycję, jeżeli chodzi o historię. Chodzi jedynie o to, aby współcześni filidzi opowiadali o przeszłości w sposób możliwie zbliżony do najnowszych ustaleń historyków.

KRZYSZTOF RUCHNIEWICZ: Jeżeli Państwo pozwolą to wrócę do wątku, który pojawił się wcześniej, w trakcie wypowiedzi Panelistek. Mianowicie w wypowiedziach tych pojawił się wątek gender i szerszego uwzględnienia historii kobiet w dziejach czy Polski, czy powszechnej. Myślę, że każdy z nas pisząc jakieś ogólne opracowania wcześniej czy później jest z tym tematem konfrontowany. To nie jest też tak, że siadając do biurka mam już gotową koncepcję i ustalonych bohaterów, i w ten sposób postępuję. Oczywiście można to w ten sposób zrobić, ale chyba nie na tym to polega. Nie ukrywam, że brak

mi nadal w polskiej historiografii konkretnych propozycji, jak to miałyby wyglądać, podobnie jak zastanawiam się nad włączeniem historii kobiet do edukacji. Jak edukacja uwzględniająca kulturowe zróżnicowanie płci miałyby wyglądać? Wypracowanie takiej koncepcji byłoby dużą pomocą przy tworzeniu podręczników. Mnie się wydaje, że raz, mamy do czynienia w polskiej historiografii z wymianą generacji, dwa, że mamy też rozszerzenie spektrum tematów, którymi się zajmujemy. Do tego dochodzą jeszcze wyzwania międzynarodowe, którym też w jakiś sposób próbujemy podołać, choć wcale to nie oznacza, że jesteśmy kompatybilni z tym światem zewnętrznym. Wielokrotnie jest też tak, że musimy na tyle uniwersalizować polską przeszłość, żeby była ona zrozumiała także dla odbiorcy zewnętrznego. Tutaj padł przykład Domu Historii Europejskiej, ja wcale nie uważam, żeby to jest zła wystawa. Tak jak każdą z wystaw, można ją rozpatrywać pozytywnie lub negatywnie, w tych częściach, które mnie zainteresowały, czyli problem pokazania totalitaryzmu w XX w., to każdy z tych wątków, jest moim zdaniem, w sposób wystarczająco uwypuklony i przedstawiony, i myślę, że bez większych problemów każdy Europejczyk, który w jakiś sposób był dotknięty przez totalitaryzm, może się tam odnaleźć, ale jest to propozycja, i do tego zmierzam odwołując się do punktu wyjścia, czyli do Apelu z Blois, ona także wyrasta z pewnej polityki.

Tak jak profesor Domańska wykazała, że odsłoniła się dziś przed nami inna przyszłość, niż ta którą przed dziesięć laty widział profesor Krzysztof Pomian, tak i ja uważam, że musimy ponownie się odnaleźć, że musimy uwzględnić tę nową sytuację i mamy takie możliwości, możemy porównać, co zrobiono wcześniej, co zrobiono teraz i starać się przynajmniej wskazać pewne możliwości rozwiązania, zachowując prawo do sporu, do dyskusji, także przecież w podręcznikach historii.

Padło tutaj zdanie, że gdy mowa jest o edukacji, przedstawiamy wiedzę już zastaną, wiedzę ustaloną mniej lub bardziej, ale w wielu przypadkach jest też tak, że interpretacje są bardzo różne i naszym zadaniem jest, jako historyków, dać możliwość zastanowienia się nad tym. Ten wybór pozostawiamy nauczycielom, bo to nie może być tak, że ja jako historyk mam gotową wiedzę i muszę tę wiedzę od razu przedstawiać, bo wtedy rzeczywiście manipuluję historią. Dlatego wydaje mi się, że to wymaga szerszej refleksji i do takiej skłania Apel z Blois. Z drugiej strony padają głosy o karaniu historyków.

Zróbmy sobie, tak jak tu siedzimy przy stole, szybki myślowy egzamin. Czy dali byście Państwo z pełną świadomością kłopotliwe tematy, np. różne postawy Polaków podczas II wojny światowej młodym doktorantom do opracowania wiedząc, że po skończeniu tych doktoratów i obronieniu ich, w pewnych instytucjach oni nie znajdą pracy, bo będą reprezentować inny punkt widzenia niż ewentualnie ten, który jest politycznie oczekiwany. Nie chcę

wymieniać konkretnych instytucji, gdzie aktualnie bardzo dużo historyków historii najnowszej jest przyjmowanych, a innych zwalania się z pracy, bo inaczej widzieli, inaczej pisali, inne propozycje tematyczne zgłaszali. Otóż czy w takiej sytuacji, nie zaczniemy rezygnować z pewnych problemów, tematów i interpretacji?

STANISŁAW JANKOWIAK: My nie bylibyśmy karani, ale karzemy ludzi, którzy zaczynają swoje kariery. Jasne, że nie.

ANNA LANDAU: Wróć do młodzieży i zainteresowania historią. Gdy młodzi ludzie zaczynają interesować się historią, to ja wpadam w panikę. Dlatego, że w czasach spokojnych, czasach stabilizacji młodzi ludzie, naturalną kolejną rzeczą, powinni być zainteresowani czymś innym, a nie historią. Gwałtowne zainteresowanie młodzieży historią oznacza dla mnie, że coś niedobrego się dzieje.

W wielu krajach Europy Zachodniej brak zainteresowania historią jest czymś zupełnie normalnym. Polska jest krajem wyjątkowo żyjącym historią i wyjątkowo przywiązującym wagę do tego, żeby ludzie ją dobrze znali, chociaż większość ludzi nigdy tej historii dobrze nie poznała. Młodzi ludzie mało wiedzą o II wojnie światowej i o I wojnie światowej, również dlatego, że poprzednie pokolenia żyły tymi wojnami długo po ich zakończeniu i nastąpił przesyć. Z kolei zainteresowanie historią młodych nie przekłada się na jakość wiedzy historycznej. W tym sensie młodzi nie interesują się historią. Widzę dwie przyczyny tego stanu rzeczy. Po pierwsze oni żyją teraźniejszością i mają ciekawsze rzeczy do roboty. To nie dotyczy oczywiście studentów historii, ale zdecydowanej reszty uczniów i studiujących inne kierunki, tak. Po drugie, podręczniki szkolne i szkolna historia jest tak przeraźliwie nudna, tak niewiarygodnie nudna, to w ogóle nie jest historia, to jest kalendarium. Sześć procent osób w Polsce zdaje historię na maturze, nie dlatego, że się nią nie interesują, ale dlatego, że wolą np. angielski niż historię, wolą znać język obcy niż uczyć się kalendarium. Ta uwaga dotyczy też zresztą strasznie nudnych podręczników. Mój ostatni podręcznik nie wyszedł prawdopodobnie między innymi dlatego, że stawiał opór, gdy postanowiono wykreślić z niego wszystkie „chyba” i „być może”, argumentując, że historia szkolna odpowiada na pytanie, jak było. Jeżeli uczymy w ten sposób historii to nie dziwny się, że tej historii nikt nie chce znać. Dodatkowo dochodzi jeszcze problem zmitologizowania PRL-u i nieobecności tej historii w szkolnym przekazywaniu wiedzy. Kiedy sama „bardzo dawno”, w „zamierzchniej galaktyce” uczyłam się historii w szkole, to tam było mnóstwo opowiadań o II wojnie światowej i to opowiadań w klasach 1-3, które podkreślały jakieś bohaterstwo, coś co dzieci chętnie czytały. Badam podręczniki szkolne, i tak jak nie ma w nich PRL-u, tak na

przykład ciągle dzieci mają zadanie domowe — wysłuchać historii wojennych od dziadków. Przepraszam, ale mówimy chyba o rozmowach z eks-humowanymi, bo czas biegnie. To, co dziś można poznać dzięki pamięci rodzinnej to jest PRL, ale tej historii nie ma w podręcznikach, nie ma prawie „Solidarności”, nic nie ma, nie było PRL-u, jest czarna dziura — tu mówię nie o podręcznikach historii, ale czytankach szkolnych. Trudno się dziwić, że ludzie nie interesują się historią, skoro historia domowa, rodzinna, skoro to, co mogą powiedzieć rodzice, czy dziadkowie, w ogóle nie znajduje odzwierciedlenia w tym, czego uczą się w szkole, oni się uczą jakiś dziwnych rzeczy. I jeszcze jednak uwaga, to czego szkoły nie uczą, to także umiejętność weryfikacji danych z Internetu. Póki tego nie będziemy uczyli w szkole, będziemy walczyć z mitami, aby zastąpić je datami. Nie tędy droga.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Jeżeli chodzi o PRL to uczestniczyłam osobiście w trzech turach przygotowywań muzeum PRL-u, (a było ich chyba z siedem, albo osiem). Tymczasem instytucji tej jak nie było tak nie ma. To przecież o czymś świadczy. Druga rzecz, na którą chciałabym zwrócić uwagę to to, że używamy cały czas pojęcia polityka historyczna, a wydaje mi się, że jednak powinniśmy mówić o politykach różnych aktorów historycznych i społecznych. Chciałabym też podzielić się osobistą frustracją. Otóż trudno mi pogodzić własne piarstwo historyczne z środowiskową presją, żeby pisać „dobre” książki historyczne, czyli takie, które będzie się przede wszystkim dobrze czytało. Nie umiem tego pogodzić z potrzebą rzetelnego warsztatu i metodologicznego namysłu. Przynajmniej dla mnie osobiście to bardzo trudne.

EWA DOMAŃSKA: Chciałabym powrócić do kwestii polityki historycznej, bo to co my historycy o niej sądzimy, jest tylko częścią problemu, jaki się z nią wiąże. Ta polityka dotyczy przede wszystkim szerokiej rzeszy odbiorców, m.in. uczniów i studentów. Otóż z niektórymi z Państwa zgromadzonymi na widowni, prowadzę zajęcia na pierwszym roku z „Wprowadzenia do historii”. Podczas zajęć czytamy między innymi książkę Edwarda H. Carr’a *Historia. Czym jest*. Jeden ze studentów powiedział mi ostatnio, że nie wierzy w prawa dziejowe, o których pisze Carr, który był marksistą, bo w istocie dziejami rządzi boska opatrność. Nie uważam tego za anegdotyczne zdarzenie. Coraz częściej studenci otwarcie uwidaczniają swoje opcje światopoglądowe (przy czym głównie dotyczy to młodzieży identyfikującej się z patriotyzmem katolickim) i oczekują, że na uniwersytecie, który jest uniwersytetem państwowym i sekularnym, świeckim, będą mogli ten światopogląd manifestować, utrwalać i rozwijać. Polityka historyczna, która jest w tej chwili prowadzona, wpisuje się w te oczekiwania, bowiem wspiera idee martyrologiczno-katolickie i przyzwala tego typu zachowania.

Zwracając się do widowni, mam do Państwa pytanie: jak sobie Państwo wyobrażacie możliwość pogodzenia oczekiwań społecznych z historią akademicką, tj. historią tworzoną przez historyków, którzy przecież także zajmują się historią publiczną (*public history*) i popularyzują wiedzę historyczną. Gdzie Państwo widzicie, pytam zwłaszcza studentów historii, wspólne pola, a gdzie sytuacje konfliktowe? Pytam, bowiem możemy sobie tutaj między sobą dyskutować w nieskończoność, natomiast właściwie ta debata dotyczy Państwa...

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję Pani Profesor. Zatem ponownie oddaję głos osobom z sali.

MARTA WŁODARCZYK (STUDENTKA, UAM): Jestem studentką historii i instruktorką Związku Harcerstwa Polskiego. Mam w związku z tym pytanie do profesor Ewy Domańskiej, o symbol wilka przywłaszczony przez harcerzy, czy tak, czy dobrze zrozumiałam wypowiedź Pani Profesor? Jeśli tak, proszę o rozwinięcie tej myśli, a potem ewentualnie zadam kolejne pytania.

ANNA WACHOWIAK: Chciałabym wrócić do wypowiedzi profesor Anny Landau na temat obiektywizmu nauk społecznych. Pani Profesor wskazała, że w świetle badań społecznych nie jest możliwe przewidzenie wyników wyborów. Tak, stosujemy przecież skale pomiarowe, skale mocne i skalę słabe w momencie, gdy zajmujemy się pomiarem trafności opinii, a tak jest w przypadku zamiarów wyborczych. Stosujemy skalę interwałową Likerta, siedmio-stopniową, w trzecim i czwartym stopniu „raczej tak”, „raczej nie”, tylko tu jest ten obszar niepewności i to w momencie, w którym mamy sporą grupę niezdecydowanego elektoratu, rzeczywiście wówczas trudno określić ten błąd, który mieści się w graniach 4%, to utrudnia przewidywania. Ale my to wiemy, my obiektywizujemy także ten błąd, jego skalę... czy nie tak?

MARCIN TOMCZAK (STUDENT, UAM): Myślę, że jeżeli chodzi o relację historyka i społeczeństwa współcześnie, to w sytuacji, w której tak naprawdę środowisko naukowe jest może bardziej zatomizowane, w tym sensie, że zmienia się postrzeganie także naukowców, którzy wcześniej byli takimi naturalnymi autorytetami, a dziś nimi być nie muszą, ponieważ reszta społeczeństwa nie musi w taki sposób postrzegać ich roli, że to wpływa na relacje historia — polityka historyczna. W związku z tym myślę, że rolą historyków i w ogóle naukowców, jest zabieganie o jak najmocniejszy udział w tym dyskursie publicznym, ale nie tylko na tym wysokim poziomie, tylko także na tym popularnym, ponieważ dzisiaj sterowanie informacjami, jest przedmiotem zainteresowania państw, które prowadzą agresywne kampanie informa-

cyjne, w tym te odniesione do przeszłości. Jest to zjawisko dość nowe, ale dobrze zakotwiczone w naszej codzienności. Federacja Rosyjska stara się zbić kapitał polityczny właśnie na zarządzaniu przeszłością. To tu powinni być obecni historycy, tu gdzie ludzie stykają się z kampaniami informacyjnymi, w których nie chodzi przecież o historię akademicką, a wykładnia przeszłości bywa bardzo prymitywna, ale chwytliwa.

MICHAŁ GĘSIARZ (STUDENT, UAM): Mam takie pytanie o historię PRL-u i historię komunizmu w Polsce w kontekście zdobywającego coraz większą popularność pojęcia „antykomunizmu” i miejsca, jakie ten antykomunizm zajmuje we współczesnych narracjach politycznych i historycznych. We współczesnej Polsce antykomunizm przybiera różne barwy znaczeniowe i formy, różne są motywy odwoływania się do niego. Jedni traktują go instrumentalnie i budują na nim kapitał polityczny, wprowadzając jednocześnie do Sejmu byłych działaczy partyjnych, inni rzeczywiście chcą rozliczyć komunistyczne zbrodnie, jeszcze inni, jak lewicowa partia „Razem”, walczą przeciwko nazywaniu ich komunistami. Chciałbym zapytać jaką odpowiedź jako historycy, jako badacze możemy zaproponować w tej sytuacji, jak możemy zbalansować dyskurs na temat komunizmu?

IZABELA SKÓRZYŃSKA (UAM): Czas nam się kończy, więc poruszę tylko trzy kwestie, wszystkie związane ze szkolną edukacją historyczną. Otóż pytanie o jej kondycję czy to w kwestii historii kobiet, PRL czy historii krytycznej odsyłają do rozważań tyleż na temat szkolnego wykładu wiedzy, co także do dydaktyki, także w ujęciu kulturowym. Sztywny gorset systemu szkolnego ogranicza w sposób konieczny pole dla historii akademickiej wraz z jej metodami dociekania prawdy historii, ale też prawomocności jej interpretacji. Choć więc mamy strategie aktywnego czy problemowego uczenia się, ich zastosowanie na lekcjach historii ogranicza czas lekcji, ilość uczniów w klasie, wymiar godzin historii w siatce godzin dydaktycznych w szkole. Dlatego częściej reprodukowujemy style i treści uczenia się historii, niż wprowadzamy innowacje. To się dzieje nawet na poziomie podręczników, gdzie ustalenia jednych autorów tych podręczników powtarzane są przez następnych, znacznie rzadziej aktualizuje się treść podręczników ze względu na ustalenia historyków akademickich. W podręcznikach nie ma też mowy o narracji wielu punktów widzenia, jest natomiast obawa przed kakafonią i tendencja, aby konstruując historię szkolną fundamentalizować ją. Barbara Szacka pisze wprost, że szkolny przekaz wiedzy historycznej czyni przeszłość przedmiotem pamięci, pamięci historycznej. Ta pamięć jest uproszczona, zmitologizowana, jest ona sakralizowana i ‘betonowana’. Oczywiście, to jaka jest historia szkolna zależy w największym stopniu od nauczyciela. I ma on pole manewru, ale nie ma

czasu, a czasem odwagi. Dlatego tak szybko rutyna zastępuje twórcze poszukiwania. W kontekście Apelu z Blois i jego dziedzictwa ważna byłaby ponownie dyskusja na temat profesjonalizmu i autonomii nauczyciela historii. Do czego gorąco namawiam nasze środowisko, w tym historyków.

Inna sprawa to jest obecność kobiet w historii, a jeszcze bardziej widzialność historyczek w badaniach nad przeszłością.

Pierwsza kwestia jest przesądzona, przynajmniej na razie. W badaniach jakie prowadziłyśmy z Iwoną Chmurą-Rutkowską i Edytą Głowacką-Sobiech, poddając analizie ilościowo-jakościowej szkolną narrację historyczną w podręcznikach do gimnazjum (we wszystkich podręcznikach, wszystkich seriach, itd.), udział imienny kobiet wynosi średnio 8%, pozostali bohaterowie podręczników 92-93%, to są mężczyźni. W narracji podręcznikowej zdecydowanie dominuje też męski punkt widzenia na przeszłość, na to co o niej piszemy i jak to interpretujemy. Co więcej, ogólnopolskie badanie, prowadzone w ramach projektu „Gender w podręcznikach” pokazuje, że analogicznie sytuacja przedstawia się w podręcznikach do historii w szkole podstawowej i ponadpodstawowej. To niestety nie podlega dyskusji. Podobna sytuacja dotyczy zresztą innych przedmiotów...

Chciałabym też jednak odnieść się do kobiet — badaczek historii i ich roli i miejsca w środowisku historycznym. Otóż w dziesięć lat od Apelu, swój Apel ogłosiły też historyczki. Dotyczył dwóch kwestii, miejsca historii kobiet i miejsca badaczek historii w dyskursach akademickich i akademickich gremiach kształtujących politykę akademicką w zakresie badań, publikacji, ale także prestiżu historyczek. Fakt, że taki Apel się pojawił, wskazuje, że także i tutaj mamy wiele do zrobienia.

EWA DOMAŃSKA: Chciałam odpowiedzieć na pytanie o symbolikę wilka i jej związek z harcerzami. Nie chodziło mi o zawłaszczanie czy przywłaszczanie sobie symbolu wilka przez harcerzy. Uważam, że przyjmowanie zwierząt (a także roślin) jako totemów, jest dla przyszłości ważne i potrzebne. Z punktu widzenia animizmu i totemizmu, jeżeli człowiek, indywidualna osoba lub grupa, uważa zwierzę symbolicznie za swojego protoplastę, przodka czy przewodnika to musi postępować zgodnie z „charakterem” i zasadami życia w grupie tego zwierzęcia. Jeżeli uznajemy, że grupa harcerska jest rodzajem watahy, to pozytywnie widzę tę wspólnotę, ponieważ wataha kieruje się bardzo specyficznymi prawami i w tym kontekście może być traktowana jak model pozytywny społecznych zachowań (istnienie hierarchii wewnętrznej, lidera, grup rodzinnych, itd.). Trzeba jednak uważać, by nie powtórzyć błędów socjobiologii. Jeszcze raz zatem powtórzę, że nie chciałabym być źle rozumiana: jeżeli mówię o animizmie, to chodzi mi o nowy animizm, który głosi, że animistą jest ten czy ta, który/a jest w stanie dostrzec w nie-

-ludzkiej formie życie osobę, co wiąże się z podmiotowym jej traktowaniem. Ponownie (w nowym kontekście dyskusji na temat negatywnych aspektów antropocentryzmu i antropogenicznych problemów ekologicznych, zmian klimatu, itd.) podejmowana jest kwestia, na ile sposób organizacji życia społecznego zwierząt może dostarczyć pozytywnym modeli organizacji grup ludzkich. A więc jeżeli Pani uważa, że harcerstwo przez medium Żołnierzy Wyklętych powołuje się na wilka, jako pewien symbol, to rozumiem zalety tego zjawiska od strony struktury i organizacji grupy. Mnie jednak bardziej interesuje proces retotemizacji orła i wilka. Nie mówię tu więc o przywłaszczaniu. Zresztą to nie jest nowe zjawisko, od starożytności mamy bowiem do czynienia z powoływaniem się na nie-ludzkie przodków. Interesuje mnie jednak, dlaczego w tej chwili takie tendencje się odradzają, a przede wszystkim jaki będzie ich skutek.

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję profesor Domańskiej. Czy są jakieś komentarze, pytania do wypowiedzi profesor Skórzyńskiej?

EWA DOMAŃSKA: W trakcie dorocznej konferencji w Blois w 2018 roku, a więc w tym samym miejscu, gdzie przyjęto apel z Blois w roku 2008, omawiana była sprawa nieadekwatnej reprezentacji kobiet na wyższych szczeblach hierarchii akademickiej i różnych gremiach decyzyjnych. Apel domagający się większej obecności kobiet w komisjach przyznających granty, jury konkursów i radach wydawnictw podpisało ponad 500 francuskich historyków. Jestem zwolenniczką realistycznych utopii, tj. takich, które są możliwe do zrealizowania tu i teraz, w pewnym określonym miejscu i czasie. Jeżeli spojrzymy na strukturę płci naszego panelu, to mamy niemal idealną sytuację — pół na pół. Miałabym zatem sugestię, by organizując jakieś przedsięwzięcia, czy budując zespoły badawcze, po prostu brać pod uwagę kwestię równowagi liczbowej kobiet i mężczyzn. Rzecz jasna, nie jestem zwolenniczką sztucznego parytetu, ale doboru merytorycznego. Problem pojawia się jednak wtedy, kiedy w danej dziedzinie istnieją uznane specjalistki, których nie bierze się pod uwagę bo po prostu nikt o tym nie pomyślał nie widząc problemu w tym, że wśród prelegentów czy recenzentów nie ma żadnej kobiety. Jest to stale obecny problem strukturalny.

KRZYSZTOF RUCHNIEWICZ: Jednym z tematów, jaki chcieliśmy podjąć podczas tej debaty, tak jak to zaproponowali organizatorzy, były granice wolności historii. W tej kwestii dostrzegam pewien niedosyt. Czasami musimy przyznać, że nasza praca nie jest w ogóle akceptowalna, nie wszyscy czytają nasze książki, nie wszyscy czytają nasze artykuły, że wieloletnia praca, którą wykonujemy, czasami nie wiedząc, czy ona będzie w jakiś sposób recypowana,

czy też nie, recypowana w końcu nie jest. Po prostu musimy się w którymś momencie zgodzić, że tak jest.

Weźmy na przykład problem reparacji. To jest jeden z najlepiej znanych problemów dzisiaj w Polsce, mówię tutaj o historii zawodowej, natomiast proszę mi znaleźć polityka bez względu na opcję, który zadał sobie trud, żeby sięgnąć po te prace i nawet jeżeli się z nimi nie zgadza, to żeby przynajmniej w jakiś sposób ustosunkował się do nich. Niestety mamy problem innego rodzaju, że z jednej strony mamy pewne tematy, które są rzucane przez polityków, nie chcą ich wartościować, czy są dobre czy złe, czy dobre lub złe jest takie „podsuwanie” tych tematów, skoro sami politycy uznali, że to jest oczekiwanie. Ale może wypadałoby wcześniej, tutaj widzę dużą rolę historyków, żeby na etapie promowania takich tematów, zwrócić się właśnie do nich, skonsultować to z nimi.

Chciałbym się też ustosunkować do pytania o „antykomunizm”. Otóż obserwujemy dzisiaj jeszcze inną rzecz, bo oczywiście to jest też i tak, że czasami funkcjonujemy według różnych fal, tzn. raz mamy taką falę, że zajmujemy się opozycją antykomunistyczną, a innym razem deportacjami do Związku Radzieckiego i tak dalej, i tak dalej, i oczywiście to jest związane też i z tym, że trochę to jest walutowane zainteresowaniem społecznym, jakimiś tematami tabu, czy też ewentualnie finansowaniem, ale pojawiają się równocześnie problemy, które są dla mnie niepokojące, ponieważ o ile moglibyśmy powiedzieć, że na przykład ruch robotniczy przed rokiem 1989 był często podejmowanym tematem, to już po roku 1989 ten temat po prostu zarzucono. Skutek jest taki, że w chwili, kiedy pojawiła się sprawa czyszczenia z przetrzeni publicznej pozostałości po komunizmie, także tablica poświęcona Róży Luksemburg miała w Zamościu być usunięta i tak się stało. Jeżeli sięgnie Pan do artykułu, który ukazał się kilka lat temu w „Gazecie Wyborczej” na temat Róży Luksemburg i jej stosunku do Polski, który był taką próbą pokazania jednak mimo wszystko, takiego zróżnicowanego stosunku Róży Luksemburg do sprawy polskiej, to wystarczy sięgnąć po te wszystkie wpisy, które są pod tym artykułem, żeby się przekonać, że wiedza na ten temat jest po prostu żadna. Nie czytamy tego, co piszą historycy, dlatego te wszystkie blogi i vlogi tworzone przez historyków mają znaczenie, skoro nie książka, to chociaż może głos historyka przebije się do opinii publicznej, w tej otwartej i popularnej formie ma przecież szansę.

Swoją drogą w badaniach i popularyzacji historii warto czasem nie iść za modą, ale kreować własną. Sięgać po tematy zarzucone, dawno opracowane, ponownie się z nimi zmierzyć, spojrzeć na nie z innej perspektywy.

Natomiast jeśli chodzi o szkolną edukację historyczną, to ja jestem praktykiem, ponieważ także i w mojej biografii naukowej jest doświadczenie pisania jednego czy dwóch podręczników szkolnych i zmagalem się z tymi samymi

problemami, co inni autorzy. Ponieważ zasiadałem przez wiele lat w Prezydium Komisji Podręcznikowej Polsko-Niemieckiej, w związku z tym też widziałem, jakie tematy pojawiają się w dyskusjach kolegów i koleżanek niemieckich i tak, jak wspomniałem, życzylibym sobie, jeżeli rozmawiamy o kwestii gender w podręcznikach szkolnych, to nie tylko diagnozy, bo to jest rzecz ważna, ale też życzylibym sobie konkretnych propozycji, jak można byłoby te tematy uwzględnić, w jaki sposób można byłoby te tematy tak zaproponować, żeby weszły do obiegu szkolnego. Dzisiaj wydaje mi się, że podstawa programowa, już niezależnie od tego jaka jest, daje mimo wszystko pewne ramy, które my wypełniamy, jako autorzy i teraz albo to zostanie przez ministerstwo i recenzentów zaakceptowane i włączone do obiegu szkolnego, albo nie. Mnie brak właśnie tych konkretnych rozwiązań, takich propozycji, które nie byłyby tylko konstatacją stanu, w jakim się znajdujemy, tylko wyjściem naprzeciw.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA: Zacznę od końca. Otóż historia najnowsza i nowy Apel z Blois wskazuje na problem, który moim zdaniem jest niemal nieprzewidywalny. Nie wiem dlaczego tak się dzieje, ale znakomita większość historyków dziejów najnowszych to są głównie mężczyźni. Zastanawialiśmy się kiedyś w szerszym, międzynarodowym gronie historyczek, dlaczego historia powojenna jest zdominowana przez historyków. Podobne zjawisko znajdziemy także w innych krajach Europy Środkowo- Wschodniej czy np. w badaniach nad dziejami NRD. Ten ostatni przypadek był dla mnie osobiście szczególnie zaskoczeniem, ponieważ historiografia niemiecka wydawała mi się pozytywnym punktem odniesienia, głównie ze względu na dorobek Karin Hausen, ale także pozycję historii oddolnej (*Alltagsgeschichte*). Tymczasem, kiedy pojechałam do Poczdamu, do Centrum Historii Współczesnej (ZFF), okazało się, że tam jednak także dominują mężczyźni. I to niezależnie od sporej liczby stażystek i stypendystek.

Ten przypadek wskazuje, że być może dzisiaj *networking* to już za mało. Moim zdaniem kobiety koncentrują się przede wszystkim na historii społecznej, która przegrywa konkurencję z historią polityczną. Byłoby zdrowiej i mądrzej, gdyby udało nam się doprowadzić do zrównoważenia obecności historii społecznej, kulturowej i politycznej w dyskursie naukowym i publicznym. Być może to, w naturalny sposób, zniósłoby dysproporcje płci. Wymaga to podjęcia dodatkowego wysiłku nagradzania ich książek, cytowania ich prac, czytania tekstów w ramach zajęć dydaktycznych. Na przykład Francuzki i Kanadyjki walczą o to, żeby w sylabusach przynajmniej 30% prac to były pozycje autorstwa kobiet. Może tę kwestię należy rozważyć w dyskutowanym ostatnio kodeksie etycznych zawodu historyka?

Druga rzecz to antykomunizm, który niezmiennie wyznacza dominujące interpretacje całej epoki i poniekąd blokuje jakąkolwiek dyskusję (nie można

dowodzić, że coś jest dobre w tej epoce, skoro miało komunistyczne korzenie). Dlatego ważna wydaje mi się interdyscyplinarność i udział w debacie o przeszłości socjologów, literaturoznawców czy antropologów. Literaturoznawcy i kulturoznawcy są w szczególności sposobem zainteresowani badaniami nad komunizmem, a spotkaniom z nimi zawsze towarzyszą wyraziste wymiany myśli, których tak nam wciąż brakuje w historiografii.

MARIUSZ MENZ: Dlatego doceniam takie wydarzenia jak dzisiejsze.

STANISŁAW JANKOWIAK: Znowu włożę kij w mrowisko. Nie podoba mi się dekretowanie, że należy proporcjonować imiona i nazwiska kobiet w podręcznikach, tylko dlatego, żeby było równo. Patrzyłem jak profesor Domańska zmieniała obrazki i akurat było spotkanie Wielkiej Trójki, więc trudno byłoby mi przez pryzmat żon tych Panów opisywać ich konferencje. Nie można dekretować, że teraz trzeba 30% i 40% kobiet — auterek w sylabusach, natomiast trudno mi sobie wyobrazić, że opowiadam studentom o strajku w Stoczni Gdańskiej bez Walentynowicz, Pieńkowskiej i Krzywonos.

Dyskusja o udziale kobiet w historii i historyczek w historiografii, to powinna być dyskusja o tym, jak patrzymy na historię, na ile jesteśmy w stanie się zmierzyć z fetyszem, jakim jest historia polityczna, bo ona siłą rzeczy jest historią mężczyzn. Natomiast jeśli chcielibyśmy stworzyć podstawę programową do nauczania historii w szkole średniej, uwzględniając na przykład dzieje społeczeństw, a nie tylko historię polityczną, to te równe proporcje ujawnią się w sposób naturalny. Bałbym się takiego dekretowania, że to musi być tyle i tyle, natomiast to że historia społeczna powinna się tam znaleźć warte jest każdej dyskusji.

ANNA LANDAU: Mnie o tyle niewiele pozostało do powiedzenia, że jestem gorącą zwolenniczką wprowadzenia historii społecznej do szkół, tym bardziej, że byłam przez 9 lat nauczycielką i widziałam, że wszystkie tematy związane z historią społeczną albo gospodarczą bardzo ożywiały uczniów, w gruncie rzeczy to były te tematy, kiedy słuchali, zamiast robić co innego. Rzeczywiście nie można zadekretować, że w podręcznikach będzie tyle samo kobiet i mężczyzn, to jest prawda. W historii politycznej nie było równouprawnienia, nie ma go dotychczas, w związku z tym w polityce jest więcej mężczyzn niż kobiet. Problem polega jednak na tym, że historia to nie jest tylko polityka, że z punktu widzenia naszych doświadczeń codzienności, historia polityczna jest niemal marginalna. To, co praktykujemy, to jest życie codzienne, a życie codzienne w szkole pojawia się owszem w starożytnej Grecji czy Rzymie, ale potem te wątki są w szkole wygaszane.

Chciałabym jeszcze dodać anegdotycznie, że nawet przy najlepszej woli jest bardzo trudno wprowadzić kobiety do podręczników. Kiedy pisałam z prof. Mędrzeckim podręcznik do historii i nauki o społeczeństwie dla czwartej klasy i stawaliśmy na głowie, żeby była mniej więcej równowaga płci. Ja pisałam o sądach i potem zobaczyłam ilustrację do tekstu. Wyglądała następująco: był pan prokurator, pan adwokat, pan sędzia, a przed barierką dla świadków dama lekkich obyczajów. Zaprotestowaliśmy przeciwko tej wizji, ale powiedziano nam, że jej nie zmienią, bo nie będą płacili dwa razy grafikowi, i to poszło. To jest problem, problemem jest również to, że ta praktyka dotyczy nie tylko podręczników do historii, ale także tych dla klas 1-3. Tam także dominują mężczyźni, a kobiety i dziewczęta występują w stereotypowych, odgórnie przypisanych im rolach. Ale tu akurat zachodzi zmiana na lepsze.

Odniosę się jeszcze do pytania o obiektywne szacunki preferencji wyborczych w badaniach społecznych. Zupełnie niedawno czytałam artykuły o tym, że w pytaniach o przyszłe głosowanie w wyborach bywa 70% odmów, wtedy losuje się następne osoby. Te odmowy są w małych miasteczkach przede wszystkim, gdzie ludzie się po prostu boją odpowiedzieć na pytanie, szczególnie, jeżeli ktoś wyciąga ankietę. Tylko w absolutnej, pełnej demokracji ludzie odpowiadają szczerze i to nie zawsze, i jeżeli chcemy mieć rzeczywiście rzetelne badania, to podajemy tyle i tyle osób powiedziało to, tyle i tyle to, tyle było odmów, a to i tak nie są pełne dane, bo wciąż istnieje 4% szansa błędu statystycznego. Przypisywanie obiektywizmu takim badaniom, jest w moim odczuciu manipulowaniem opinią publiczną. Niestety wszyscy to robią, nie tylko w Polsce, wszędzie się to robi i jest to rodzaj manipulacji.

MARIUSZ MENZ: Bardzo dziękuję za to podsumowanie. Teraz oddaję głos profesorowi Konradowi Białeckiemu, prosząc go o to samo, czyli o kilka zdań podsumowania naszej debaty.

KONRAD BIAŁECKI: Króciutko, tylko odnosząc się do jednego szczegółu, pytania jednego z Panów z sali, co zrobić, żeby rzetelniej badać ten okres do roku 1989. Myślę, że warto w badaniach nad komunizmem zejść trochę głębiej i pochylić się ponownie nad danymi podstawowymi, w tym statystycznymi, bo one wciąż mają ogromny potencjał i ja bym ich nie przekreślał. Mamy bardzo dużo danych statystycznych z okresu PRL-u, które pozwalają, tak jak to robi na przykład Henryk Słabek, na pisanie gęstej historii PRL. Podobnie cenne są też relacje ustne czy historie mówione, których moc ma charakter świadectwa. W tych relacjach tkwi nie tylko pamięć życia w PRL, ale także sposób, w jaki to życie było wtedy, choć także i teraz, rozumiane. Nie rezygnując z krytycznych podejść do statystyk i relacji, są to źródła, któ-

rych potencjał jest nie do przecenienia. Tym bardziej w badaniach historii społecznej.

MARIUSZ MENZ: Szanowni Państwo, bardzo dziękuję za udział w tej aż 3,5 godzinnej debacie. Choć nie wszystkie wątki doczekały się rozwinięcia, wydaje mi się jednak, że dotknęliśmy sedna, formułując konkluzje, ale także zachęcając do dalszych dyskusji. Bardzo dziękuję organizatorom za przygotowanie tej debaty. Mam nadzieję, że jej treść zostanie opublikowana i w ten sposób poszerzy grono odbiorców.

Transkrypcja: *Zuzanna Górnikiewicz* (UAM)

Redakcja: *Izabela Skórzyńska* (UAM)